Numer zawiera 12 stron

SŁOWO

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Wilno Zamkowa 2. Telefony: Redakcji 17-82. Administracji 228. Administracja czynna jest od godz. 9-ej do 4-ej po poł. Sekretarz Redakcji przyjmuje codziennie od 17-ej do 18-ej

Przedstawicielstwo w Warszawie, Marszałkowska 78 m. 8 tel. 9 - 08 - 40. Prenumerata miesięczna z odniesieniem do domu, lub przesyłką pocztową 4 zł. zagranicą 7 zł. Konto P.K.O. Nr. 700.724 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Redakcja rękopisów niezamówionych nie zwraca Administracja nie uwzględnia zastrzeżeń co do rozmieszczeń ogłoszeń

Kwestje społeczne i gospodarcze były dla nas zawsze czemś wtórnem, drugorzędnem, środkiem, a nie celem, którym był zawsze testament wielkomocarstwowości polskiej realizowany swego czasu przez Władysława IV, poetyzowany w czasach niewoli przez Sienkiewicza, restaurowany pod Kijowem przez Piłsudskiego.

ROK XVII. Nr. 207 (5131) WILNO NIEDZIELA 31 LIPCA 1938 R. CENA 20 GR.

Dzieci na semaforach i zwrotnicach.

Cat.

Milczenie Stronnictwa Pracy

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) Rewelacje „Naszego Przeglądu" o stosunku Ignacego Paderewskiego do kwestji żydowskiej, o jego krytycznych zapatrywaniach na ruch antysemicki w Polsce, o czem pisaliśmy już w „Słowie", zostały powtórzone nietylko przez całą prasę żydowską, ale i polską. Również pochwała żydowskiej loży B'nai B'rith dla Paderewskiego podana została do publicznej wiadomości przez „Prosto z Mostu".

Dotychczas nigdzie nie ukazało się ani sprostowanie, ani też nawet zapowiedź jakiegoś sprostowania wywodów prasy żydowskiej.

Paderewski jest sztandarowym członkiem Stronnictwa Pracy. Stronnictwo Pracy jest stronnictwem, reklamującem się antysemityzmem. Wobec tego uważamy, że stronnictwo to za pośrednictwem swych licznych organów winno wyjaśnić opinji publicznej następujące wątpliwości:

— Jeżeli Stronnictwo Pracy jest stronnictwem antysemickiem, to dlaczego właśnie sztandarowy leader tego stronnictwa nie jest antysemitą??

— A jeżeli główny leader stronnictwa nie jest antysemitą, to dlaczego Stronnictwo Pracy jest antysemickie?

Czekamy na odpowiedź.

Zmiany polityczne w świecie robotniczym

Tendencja do powstania dwu frontów

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) Coraz częściej prasa przynosi informacje o przejściu takich lub innych organizacyj lub związków robotniczych Z. Z. Z. do klasowych socjalistycznych związków robotniczych. Ostatnio takie jaskrawe wypadki miały miejsce we Lwowie mimo przyjazdu i zabiegów generalnego sekretarza Z. Z. Z. p. Szuriga.

Samorzutne likwidowanie się Z. Z. Z. przy równoczesnem kompletnem niepowodzeniu ozonowych związków wytworzyło na terenie robotniczym sytuację, w której zarysowują się coraz bardziej tylko dwie siły:

Pierwsza, to organizacje marksistowskie, związki klasowe, do których ciążą pewne odłamy Unji związków pracowników umysłowych, druga zaś, to związki antymarksistowskie, takie jak Zjednoczenie Zawodowe Polskie (ZZP.), Związki Chrześcijańskie, Praca Polska.

Z danych statystycznych, podanych w Małym Roczniku na r. 1938 wynikałoby, że związki antymarksistowskie o ideologji katolickiej i nacjonalistycznej. mają nawet przewagę liczebną, ale niestety nie są one zdolne do jakiejś wspólnej jednolitej akcji i nie wykazują dostatecznej siły ekspansji. Natomiast socjaliści, wspomagani przez ruchliwe związki żydowskie i faworyzowane przez politykę ministerstwa pracy, rozwijają się w ostatnim czasie w sposób nader pomyślny.

Pierwsze pogłoski wyborcze w Warszawie

Nazwiska kandydatów na prezydenta stolic.

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

W związku z zapowiedzianymi w jesieni wyborami do Rady Miejskiej w Warszawie, poczęto w kołach stolicy wymieniać nazwiska kandydatów na prezydenta miasta.

Ze strony regime'u padają następujące nazwiska: min. Kościałkowski, wiceminister Korsak, wojewoda Jaroszewicz, obecny prezydent Stefan Starzyński, dyrektor B. G. K. Garbusiński, prezes Związku Stowarzyszeń Wielkiej Warszawy pułk. Kamiński, b. prezydent Łodzi Ziemęcki, wiceprezydent Szpotański, przywódca frakcji rewolucyjnej Jaworowski.

Natomiast ze strony kół opozycji dotychczas żadne nazwiska nie są jeszcze lansowane ani po stronie prawej, ani lewej.

Pensje z rad nadzorczych na cele społeczne

WIEDEŃ, Pat. Gauleiter Globocnik wydał zarządzenie, mocą którego wszyscy członkowie partji, piastujący godność różnych członków rad nadzorczych i t. p., będą musieli odtąd oddawać swoje otrzymywane z tego tytułu pensje na cele ogólno - społeczne.

Również adwokaci aryjscy, którzy na mocy orzeczenia Izby adwokackiej przydzieleni być mogą do obrony spraw żydowskich, będą musieli składać honorarjum otrzymywane od żydów na te same cele.

Przedstawiciele różnych kierunków politycznych

interpelują w sprawie etatów nauczycielskich

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) Na ostatniej sesji sejmowej poseł E. Hutten - Czapski wniósł interpelację, skierowaną do ministrów skarbu i oświaty w sprawie stworzenia przez Ministerstwo Oświaty tylko 1.700 nowych etatów nauczycielskich, mimo, że budżet, uchwalony na rok 1938 — 1939 przewiduje 4.000 nowych etatów. Niestety rząd, korzystając z uprawnienia, które pozwala mu na udzielenie odpowiedzi dopiero po sześciu tygodniach, uchylił się od niej, wobec czego usłyszymy tę odpowiedź dopiero w jesieni na sesji zwyczajnej.

Ale o to samo, co poseł Czapski, interpeluje rząd obecnie „Wici", organ Stowarzyszenia Młodzieży Wiejskiej Wici. Rząd, który — jak piszą Wici — rzucił hasło „frontem do wsi", w imieniu którego minister Poniatowski stale mówi o podniesieniu gospodarczem i kulturalnem wsi, — gdy chodzi o praktyczną realizację postulatów wsi, nie spełnia nawet zobowiązań, nałożonych nań przez parlament.

Na czem więc polega owe głośne „frontem do wsi"? — zapytują Wici i wzywają Stronnictwo Ludowe, aby na zebraniach w dniu 15 sierpnia ogłaszać nietylko uchwały w sprawie samorządów, ale także i w sprawie szkolnictwa. W tych postulatach Stronnictwo Ludowe powinno domagać się przedewszystkiem stworzenia nowych etatów, przewidzianych w budżecie, a które, jak twierdzą w kołach politycznych, na skutek niefortunnej gospodarki budżetowej mogą nie być stworzone. Stronnictwo Ludowe posiada więc tutaj pole do pożytecznej i wskazanej agitacji.

Jerzy Rutkowski kierownikiem propagandy

Porozumienia Organizacyj Narodowo-Radykalnych

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) Dowiaduję się, że Jerzy Rutkowski, były kierownik Z. M. P. obecnie NOR-u, obejmuje w niedługim czasie kierownictwo propagandy Porozumienia Organizacyj Narodowo - Radykalnych. na którego czele stoi Bolesław Piasecki.

Po numerus clausus — numerus nullus

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) W kołach młodzieży narodowej obiegają od pewnego czasu pogłoski, iż w jesieni r. b. szereg organizacyj młodzieży akademickiej ma zamiar wystąpić wobec władz uniwersyteckich z programem wprowadzenia na wyższych uczelniach numerus nullus, zamiast dotychczasowego numerus clausus. W tej chwili trudno powiedzieć, jakie stanowisko zajmą wobec tych prądów władze uniwersyteckie.

Pismo ukraińskie w języku polskim

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

(Ł) Ostatnie „Diło" potwierdza wiadomość, którą niedawno zanotowała prasa polska, że w niedługim czasie zacznie wychodzić tygodnik, a nawet może dziennik, wydawany przez Ukraińców w języku polskim. Celem tego czasopisma będzie informowanie opinji polskiej o sprawach ukraińskich. Nie jest jeszcze przesądzone, czy pismo to wychodzić będzie we Lwowie czy w Warszawie

Nieudana gra czeska ze statutem

Kłamliwe zapewnienia o losie polskiej mniejszości

Wściekły atak komuny na lorda Runcimana

Niepewność rządu czeskiego

Ogłaszają, a potem wypierają się statutu

BERLIN, Pat. Doniesienia czechosłowackiego biura prasowego, w których stwierdza się, że opublikowane przez praskie dzienniki rządowe teksty statutu narodowościowego nie są autentyczne, określane są przez całą poranną prasę berlińską jako nowe usiłowania wprowadzenia w błąd opinji lub jako nowy „trick Pragi".

„Deutsche Allgemeine Ztg." pisze: Wiemy dobrze, co mamy o tym nowym manewrze Pragi sądzić. Praga czuje się niepewna i wycofuje się. Rząd praski zaprzecza przecież wiadomościom dzienników, które nie mogą uchodzić za nieodpowiedzialne, mogące popełniać niedyskrecje. To też potwierdza się przypuszczenie, że Praga dementuje postanowienia własnego planu po to, aby wkrótce ten sam plan z nieznacznemi zmianami znowu wysunąć. Nie przypuszczamy, kończy „Deutsche Allgemeine Ztg.", aby manewr ten mógł wywrzeć jakieś wrażenie w opinji światowej.

„Berliner Boersen Ztg." pisze na ten temat: Ostatnie wystąpienie czechosłowackiego biura prasowego jest nowym wybiegiem, mającym złagodzić fatalne wrażenie, jakie wywarły „niedyskrecje" ostatnich dni. Jednak, zdaniem dziennika wiadomości czechosłowackiego biura prasowego, należy przyjąć z dużemi zastrzeżeniami, gdyż zawierają one znowu informacje, odbiegające od prawdy. Przecież ze strony Niemców sudeckich oświadczono już, że praktycznie biorąc, żadnych rokowań jeszcze rząd praski nie rozpoczął. W komunikacie więc oficjalnym może chodzić tylko o własne wewnętrzne rokowania rządu, a nie o rokowania z narodowościami. W ten sposób — kończy „Berliner Boersen Ztg." — nie wprowadzi się nikogo w błąd.

Czesi nie załatwili żądań

polskiej mniejszości

MOR. OSTRAWA, Pat. W związku z informacjami prasowemi o rzekomem załatwieniu żądań Polaków w Czechosłowacji, przedstawicielstwo polityczne ludności polskiej ogłosiło następujący komunikt:

„Komitet porozumiewawczy stronnictw polskich w Czechosłowacji stwierdza, że podana przez niektóre dzienniki zagraniczne wiadomość, jakoby rząd praski załatwił całokształt żądań mniejszości polskiej w Czechosłowacji nie odpowiada prawdzie. Według sprawozdania, doręczonego delegacji polskiej przez prezydjum rady ministrów w Pradze, władze centralne załatwiły narazie formalnie część postulatów o charakterze szczegółowym.

Natomiast jeśli chodzi o zasadnicze żądania mniejszości, t. zn. o autonomję, opartą na przywróconym stanie posiadania z r. 1918, to sprawa ta jest w dalszym ciągu otwarta".

MOR. OSTRAWA, Pat. Wczorajszy „Dziennik Polski" podaje wiadomość o niezatwierdzeniu przez władze do dnia dzisiejszego obranego w dniu 2 lipca b. r. wójtem w gminie Trzanowice członka Związku Polaków Pawła Szarowskiego. W Trzanowicach pomimo wyboru Polaka, nadal urzęduje czeski wójt.

Prasa czeska o lordzie Runcimanie

MOR. OSTRAWA PAT. Część prasy czeskiej wyraża niezadowolenie spowodu wydelegowania lorda Runcimana do Pragi. Szczególnie ostro wypowiada się przeciwko jego przyjazdowi prasa komunistyczna.

Nowa prowokacja sowiecka

na granicy Korei

TOKIO, Pat. Agencja Domei donosi: Według informacyj otrzymanych z Keijo (Korea), na wschodniej granicy sowiecko-mandżurskiej wydarzył się ponownie incydent. Przeszło 10 żołnierzy sowieckich wkroczyło na terytorjum mandżurskie o godz. 14-ej w miejscowości odległej o 800 m. na północ od Czang-Ku-Fung. Bez żadnej prowokacji ze strony japońskiej żołnierze sowieccy zaczęli ostrzeliwać straż graniczną japońską. Po utarczce, która trwała około godziny, żołnierze sowieccy zostali wyparci z terytorjum mandżurskiego.

Tortury w celach z gorącem powietrzem

w więzieniach politycznych G. P. U.

KEIJO. (Korea) Pat. Niejaki Rudolf Liedke, członek sekcji zagranicznej GPU we Władywostoku, który niedawno przybył do Szanghaju z jednego z portów rosyjskich, uciekając przed krwawą „czystką" opowiadał o nowych metodach tortur, stosowanych przez funkcjonarjuszy GPU, celem zmuszenia osób podejrzanych o działalność kontrrewolucyjną do przyznania się.

Liedke twierdzi, że krwawa „czystka" obejmuje coraz szersze kręgi w sowieckich prowincjach nadmorskich i że wyżsi oficerowie czerwonej armji i rozmaici urzędnicy sowieccy na Dalekim Wschodzie są ciągle przenoszeni z jednego stanowiska na drugie.

Dowódca pułku artylerji we Władywostoku oraz członkowie sekcji politycznej GPU w temże mieście zostali aresztowani i rozstrzelani, jak twierdzi Liedke, który dodaje, że rzekomi kontrrewolucjoniści zamykani są w specjalnych celach więziennych, wypełnionych gorącem powietrzem.

Gdy ofiary tych tortur utracą przytomność, przenosi się je do innych cel i poddaje się zabiegom lekarskim, celem ocucenia.

Misji lorda Runcimana

przypisuje się coraz większe znaczenie

LONDYN, Pat. Misja czeska lorda Runcimana, którą zarówno premjer Chamberlain, jak i lord Halifax określali, jako całkowicie prywatną i zupełnie niezależną od rządu brytyjskiego, rozrasta się coraz bardziej w prawdziwą delegację.

Okazuje się, że lordowi Runcimanowi oprócz osobistej sekretarki i wymienionego już rzeczoznawcy do spraw niemieckich Stopforda, towarzyszyć będą przedewszystkiem małżonka lady Runciman, która jest bardzo aktywną działaczką polityczną w partji liberalnej i była przez pewien czas posłanką do Izby Gmin.

Ponadto lordowi Runcimanowi towarzyszyć będzie były konserwatywny poseł do parlamentu i były prywatny sekretarz lorda Runcimana, jako ministra handlu od roku 1931 do roku 1935 Peto, oraz, co jest najcharakterystyczniejsze, naczelnik sekcji ekonomicznej Foreign Office, Ashton Gwatkin.

Zwłaszcza udział Gwatkina wskazuje na bardzo ścisły związek całej akcji lorda Runcimana z brytyjskiem Foreign Office.

Ashton Gwatkin jest jednym z najlepszych znawców spraw gospodarczych środkowej Europy. Zasiadał z ramienia W. Brytanji w komisji międzynarodowej, kontrolującej żeglugę na Dunaju i należy do międzynarodowej komisji utworzonej niedawno w Londynie dla zbadania możliwości udzielenia pomocy gospodarczej państwom basenu dunajskiego.

Wobec ogłoszenia przez Czechów pewnych ustępów projektu ustawy mniejszościowej i wytworzonego wskutek tego ponownego naprężenia na podstawie ostrej krytyki niemieckiej, lord Runciman postanowił przyśpieszyć swój wyjazd i odjedzie do Pragi już w nadchodzący wtorek, 2 sierpnia.

Obydwaj rzeczoznawcy Gwatkin i Stopford odlecą do Pragi samolotem już w poniedziałek, aby przygotować teren dla lorda Runcimana, jadącego koleją via Paryż — Strasburg — Norymberga. Wszystkie wydatki delegacji lorda Runcimana i towarzyszy poniesie brytyjskie Foreign Office.

Tajemnicze wizyty w trójkącie

Berlin — Londyn — Paryż

PARYŻ, Pat. W kołach dziennikarskich i politycznych Paryża kursowała wczoraj bardzo szeroko pogłoska, która nadeszła do Paryża via Londyn, że adjutant kancelrza Hitlera kpt. Wiedemann, którego bliski ponowny przyjazd do Londynu, pomimo kilkakrotnych zaprzeczeń, w dalszym ciągu oczekiwany jest w kołach prasowych, przed przybyciem do Londynu zatrzyma się po drodze w Paryżu. Ewentualna misja kpt. Wiedemanna, która w kołach dziennikarskich Paryża komentowana jest jako zapowiedź wdrożenia rokowań o pakt lotniczy angielsko - niemiecki, budzi w Paryżu coraz mocniejsze przekonanie, że niezależnie od tego, czy kpt. Wiedemann istotnie swoją nową podróż odbędzie, rokowania na temat takiego paktu lotniczego istotnie są bliskie i objęłyby one nietylko rokowania niemiecko - angielskie, ale również i Francję.

BERLIN, Pat. Zbliżająca się rewizyta gen. Vuillemin w Berlinie, budzi w tutejszej prasie coraz większe zainteresowanie. Prasa wyraża przypuszczenie, że głównem zadaniem pobytu szefa lotnictwa francuskiego będzie wybadanie przezeń w rozmowach bezpośrednich z marszałkiem Goeringiem gruntu dla możliwości zawarcia międzynarodowego porozumienia lotniczego, którego założenia uzgodnione być miały w konferencjach sztabów generalnych francuskiego i brytyjskiego.

Na wewnętrznym froncie

Palestyny

BEJRUT, Pat. Wczoraj rozrzucono tu wielką ilość ulotek i odezw, w których wzywano ludność do zamknięcia wszystkich sklepów na znak protestu przeciw ostatnim zajściom w Palestynie. Odezwy podpisane były przez „Młodzież mahometańską i chrześcijańską", jak również przez „Związek kobiet arabskich Libanu".

Wczoraj w pobliżu Tulkarem niedaleko Kalkilieh, dokonano zamachu sabotażowego na przejeżdżający pociąg. Dwóch kolejarzy odniosło rany w katastrofie.

BEYROUTH, Pat. W mieście wybuchł wczoraj strajk protestacyjny i odbyły się manifestacje w związku z ostatniemi wydarzeniami w Palestynie. Wszystkie sklepy są zamknięte. W mieście panuje obecnie zupełny spokój. Władze policyjne aresztowały 9-ciu agitatorów, którzy nawoływali tłum do manifestowania.

Dzień gwałtownych walk w Chinach

HANKOU, Pat. Główna kwatera chińska donosi, że od wczorajszego ranka toczą się niezwykle zaciekłe walki.

Wojska japońskie operujące na prawym brzegu Yangtse, nawiązały kontakt z głównemi siłami armji chińskiej, znajdującemi się na południe i południo - zachód od Kiukiang. Według wiadomości, otrzymanych przez główną kwaterę, samoloty chińskie bombardowały wczoraj japońskie okręty na wysokości Hukeu. Jeden z tych okrętów został podobno zatopiony.

Nagroda za bohaterstwo naukowe

PARYŻ. Pat. Na wczorajszem posiedzeniu rada ministrów na wniosek ministra lotnictwa powzięła uchwałę, nadającą poza zwykłemi odznaczeniami order Legji Honorowej młodemu inżynierowi Serruys, który przed dwoma dniami przy wykonywaniu eksperymentów w jednem z laboratorjum lotniczych utracił wskutek wybuchu, obie ręce. Prasa donosi, że inż. Serruys, który natychmiast po wypadku został operowany, ma się obecnie lepiej i że jest nadzieja, iż nietylko nie utraci on życia, ale że nawet po powrocie do zdrowia będzie mógł w przyszłości podjąć swe prace naukowe.

Henlein na zjeździe sportowym we Wrocławiu

BERLIN. Pat. Gimnastyczno - sportowy zjazd we Wrocławiu stał nadal pod znakiem manifestacji na rzecz Niemców z zagranicy oraz ćwiczeń zespołowych i masowych, których doniosłość wychowawcza silnie jest tu akcentowana. Na odbytem w auli uniwersytetu wrocławskiego zebraniu przewódców Niemców zagranicznych referat ideowy wygłosił przewódca Niemców sudeckich Konrad Henlein. Referat ten poświęcony był zagadnieniu wartości wychowania fizycznego dla walk narodowościowych.

Henlein, który sam z prezesa związku gimnastycznego wyrósł na przewódcę partji Niemców sudeckich doszedł w swych wywodach do wniosku, iż wychowanie fizyczne winno być elementem składowym wychowania narodowego, prowadzonego pod hasłem: „Czystość rasy, jedność narodowa, swoboda ducha". Zwłaszcza ćwiczenia zespołowe są szczególnie ważnym czynnikiem wychowawczym, gdyż wyrabiają i wzmacniają poczucie wspólnoty i obowiązku walki dla niej. „Celem naszej pracy — zakończył przewódca Niemców sudeckich — jest wyrobienie w sobie postawy żołnierskiej wyrażającej się w sile własnej drużyny i własnej ojczyzny".

Wykręty bolszewickie

MOSKWA PAT. Wydział prasowy ludowego komisarjatu spraw zagranicznych podał wczoraj późno wieczorem do wiadomości krespondentów następujący komunikat:

„Dnia 29 bm. o godz. 16-ej na północ od wzgórza koło jeziora Chasan, co do którego, jak wiadomo, rząd japoński zgłosił niedawno nieuzasadnione pretensje dwa oddziały japońsko - mandżurskie przekroczyły granicę sowiecką i usiłowały zająć wzgórze znajdujące się w odległości dwóch kilometrów na północ od wzgórza koło jeziora Chasan. Straż pograniczna sowiecka wyparła te oddziały z terytorjum sowieckiego. Po obu stronach są zabici i ranni.

Natychmiast po otrzymaniu tych wiadomości w Moskwie charge d'afaires Z.S.R.R. w Tokjo otrzymał polecenie złożenia rządowi japońskiemu zdecydowanego protestu przeciwko nowej prowokacji soldateski japońsko - mandżurskiej i zażądania przykładnego ukarania winnych oraz uprzedzenia rządu japońskiego, że rząd sowiecki składa nań całą odpowiedzialność za rezultaty tego rodzaju działań jego organów w Mandżurji.

Samolot San Francisco — Filipiny

zaginął w oceanie

MANILLA. Pat. Samolot 4-motorowy, należący do „Panamerican Airways", który wystartował w sobotę z San Francisco i który po zatrzymaniu się w Guam znajdował się od wczoraj w drodze na wyspy Filipińskie, nie przybył do tej chwili na miejsce przeznaczenia.

Na pokładzie samolotu znajdowało się 6-ciu pasażerów i 9-ciu ludzi załogi. Po wystartowaniu z Guam samolot skierował się bardziej na południe, aby uniknąć burzy podzwrotnikowej. Wczoraj o godzinie 22-ej samolot wysłał swój ostatni radjogram. Liczne samoloty i okręty wysłane zostały zostały na poszukiwania zaginionego samolotu.

MINISTROWIE RATOWALI RANNYCH W WYPADKU SAMOCHODOWYM

SOFJA Pat. Jadący w kierunku górskiej miejscowości „Czam Korja" naładowany samochód ciężarowy na ostrym wirażu stoczył się w przepaść, wywrócił do góry kołami i przygniótł trzech pasażerów. W jakiś czas po wypadku przejeżdżali trzej ministrowie: przemysłu i handlu Nikifor, spraw wewnętrznych Nikołajew i rolnictwa Bankow, którzy pośpieszyli na pomoc i wydobyli ciężko rannych spod rozbitego samochodu.

IGRASZKI ALFABETOWE W SOWIETACH

MOSKWA PAT. Agencja „Tass" donosi, że komisarjat oświaty zatwierdził nowy alfabet Osetyński, opracowany na podstawie alfabetu rosyjskiego.

Po sowietyzacji Kaukazu wprowadzono w Osetu alfabet łaciński, zamiast używanego poprzednio arabskiego — obecnie zaś alfabet łaciński zastąpiono rosyjską „Grażdanką".

WALKA Z BEZROBOCIEM I ŻEBRACTWEM W AUSTRJI

WIEDEN PAT. Dr. Tavs, jeden z Gauleiterów Wiednia, oświadczył wczoraj na zgromadzeniu robotniczem, że w ciągu roku nie będzie ani jednego bezrobotnego w Austrji. Omawiając sprawy żywnościowe, podkreślił on, że powstałe przed pewnym czasem chwilowe braki w zaprowiantowaniu Wiednia zostały obecnie uzupełnione. „Zresztą — oświadczył on — my, narodowi socjaliści, wolimy wielkie Niemcy bez gulaszu, aniżeli odwrotnie".

WIEDEŃ PAT. Dyrekcja policji w Wiedniu przystąpiła do tępienia żebractwa w Wiedniu w drodze natychmiastowego aresztowania każdego napotkanego żebraka. Specjalne oddziały zmotoryzowne będą dokonywały stałych obław.

PROCES INTERGRALISTÓW BRAZYLIJSKICH

RIO DE JANEIRO PAT. Przeciwko b. przewódcy integralistów Plinio Salgado i przeciwko b. gubernatorowi stanu Rio Grande do Sul, Flores da Cunha, władze policyjne wniosły oskarżenie do międzynarodowego trybunału do spraw bezpieczeństwa, zarzucając im, iż obaj są głównymi przewódcami puczu z 11 maja r.b. Krótkim czasie odbędzie się rozprawa przeciwko obu oskarżonym.

MEKSYK SZUKA RYNKÓW DLA SWEJ ROPY

MEXICO PAT. Podsekretarz stanu w ministerstwie finansów Eduardo Villasenor odjechał wczoraj wieczorem do Europy w specjalnej misji rządu meksykańskiego. W kołach dobrze poinformowanych twierdzą, że Villasenor ma pertraktować w sprawie sprzedaży ropy meksykańskiej oraz interwenjować u władz holenderskich w sprawie zwolnienia obłożonego aresztem meksykańskiego statku — cysterny „Lundgren".

NOWY OKRĘT FRANCUSKI

LASEYNE SUR MER PAT. W stoczniach tutejszych spuszczono na wodę nowy kontrtorpedowiec dla marynarki francuskiej „Le Furet". Jest to pierwszy z serji zamówionych kontrtorpedowców o wyporności 1800 ton, liczących 122 mtr. długości i 12 mtr. szerokości.

EKSPEDYCJA PODBIEGUNOWA WILKINSA

SALT LAKECITY (Utah) PAT. Znany badacz stref podbiegunowych sir Hubert Wilkins ogłosił, iż weźmie udział w czwartej ekspedycji do okolic bieguna południowego, podejmowanej przez znakomitego badacza aemrykańskiego Lincolna Ellswortha. Ekspedycja ta wyrusza z Le Cap w końcu października na pokładzie statku „Wyatt Earp". Statek ten zabierze ze sobą specjalny samolot, skonstruowny dla lotów podbiegunowych.

ODNALEZIENIE MISJONARZA

TOKJO. PAT. Ojciec Jacquinot, misjonarz francuski, który przed kilku dniami zaginął bez wieści, został odnaleziony w dobrem zdrowiu na wybrzeżu Tarumi pod Kobe u pewnej rodziny japońskiej. Misjonarz odjechał wczoraj wieczorem statkiem „Felix Roussel" do Szanghaju.

„METRO" PARYSKIE BĘDZIE WYKORZYSTANE DO OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ

PARYŻ PAT. Prefektura policji ogłosiła wczoraj plan wykorzystania podziemnej galerji Metro paryskiego, jako schronów na wypadek ataku lotniczego. Z planu tego wynika, że z ogólnej liczby 157 km. korytarzy podziemnych, tylko połowa daje gwarancję bezpieczeństwa, wobec czego nie więcej niż 80 tys. osób mogłoby w razie potrzeby schronić się na dworcach i w korytarzach kolei podziemnej.

WYRUSZAM DO ATEN

Pierwszy defekt. — Problem straganu w Kamiennej Woli. — Gdy wieś nie może sprzedać mleka, a spółdzielnie zajmują się czem innem. — Polska „Kraft durch Muede". — Dlaczego p. Wysogląd z Wadowic zwinął swój interes restauracyjny.

I.

Czem wytłumaczyć, że w pełni lipca 1938 jedzie się naraz akurat do Aten. Człowiek przytomny pojechałby do Norwegji, Finlandji. Nie zanosi się tam na żadną rewolucję, żadną wojnę, żadne wielkie wydarzenie. Konrad Wrzos trafił kiedyś w Atenach w sam raz na rewolucję. Ale rewolucje greckie przestały dawno kogokolwiek, od Greków począwszy, przejmować. Notuje się je z tak zwanego „obowiązku dziennikarskiego".

Ale moi znajomi jadą właśnie autem do Aten. Auto nie jest wielką, wspaniałą maszyną, drogi bałkańskie nie są autostradami. Będzie się tedy jechało wolno, drogami złemi, przystawało często, nocowało gdzie się da i nie da. Ze względu na oszczędność będzie się omijało nietylko Budapeszty, Belgrady, Saloniki, ale nawet Bratysławy, koczowało po zajazdach, spało może pod gołem niebem? A jechać się będzie na doliny słowackie, na pusztę przed Szegedem, na Kecskemet, na Zemuń, na starą Serbję, wpobok Mohacsu, przez muzułmańskie południe Jugosławji, niegdyś bułgarskie Skoplje, przez góry i przełęcze. Jechać się będzie przez kraje jeszcze młode, niewystygłe i niesformowane, gdzie jak przed Sarajewem wszystko jest jeszcze możliwe i wszystko spod spodu kipi, gdzie krzyżują się różne wpływy, różne kierunki ekspansji, gdzie z trudem i powoli nastaje Europa, a opornie i żywotnie trwa jeszcze turecki Wschód

— Bałkan!

Państwa i policje nie lubią takich podróżników. Właściwie jest to zwyczajne domokrążstwo, uprawiane tylko na skalę międzynarodową. Jest to włóczęgostwo, odróżniające się od pospolitego włóczęgostwa tem, że posługuje się jednym z najtańszych samochodów, — ale przecież samochodem tem złośliwsze. W Ameryce już bywają tacy domokrążcy z własnym Fordem, ale w naszej Europie nie. Mają tam coprawda samochód, ale znowuż czy można „takich" porównać nawet z prawdziwymi turystami, wyposażonymi w turystyczne czeki, wielkie limuzyny, dla których Francja — to Paryż i Deauville, Włochy — to Rzym i Capri, Warszawa — to przystanek na szlakach Inturista? Możemy mieć jeszcze jaką przygodę w drodze, — a państwa te nie pragną wcale słynąć w świecie jako kraje przygód.

Wielkie dzienniki nie lubią również takich dziennikarzy. O ileż bardziej „miarodajnym" byłby dla „IKC." opis wizyty „naszego specjalnego wysłannika" na „specjalnej audjencji" na Zamku Belgradzkim u piętnastoletniego króla! O ileż bardziej w stylu „Ekspresu" byłoby zapytanie Jerzego II-go, króla Hellenów, jak zapatruje się na odwieczne węzły przyjaźni, łączące ojczyznę Demostenesa z kolebką Jana Kiepury! A wywiad z Njegoszem Vladicem Skiptokudą, wielkim szambelanem królestwa Albanji! (Już widzę: pierwsza kolorowa strona „Światowida"!) Lub artykuł pouczający w serwisie prasowym PAT-a: „Do Grecji można wjechać drogą lądową, żelazną, lub morską. Państwo to, znane już poniekąd i w starożytności, jest ostatnio monarchją, dziedziczną w rodzie książąt Sonderburg - Gluecksburg..."

Tego wszystkiego u mnie, niestety, nie będzie. Trudno. Nie będzie także „syntez", Jugosławji w trzech zdaniach, Węgier w czterech, o Atenach na kartce pocztowej. Tylko sobie gdzieś luznie pozbierane migawki. Takie sobie refleksje po drodze. I rzeczy nieciekawe. Jak to z benzyną mieliśmy kłopoty w Raszak, i jak nas za Palestyńców wzięli w Mundar, a za cyganów w dolinie Gruży i jakiego mniemania o Polsce jest wójt w Swentym Kriżu. A tylko może na końcu, gdy przebrniemy Bałkan, gdy ludzie wkoło nas będą mówić o drodze: hodos, o morzu: thalatta, chłopca nazywać: pajdos, burmistrza: archont, gdy z góry roztoczy się widok wielki na błękitne morze Egejskie, morze Jonji, morze Salaminy, morze modre Ikara, —

— Wtedy przypomni się wiersz polskiego poety o grobie Agamemnona i mieszkaniu Kanarisa. Wtedy, jako że należę do ostatniego w Polsce pokolenia, które czytało w oryginale i Homera i mowy Demostenesa, pokolenia sprzed „reformy" postępowego Janusza Jędrzejewicza, —

Wtedy może ozwie się jeszcze co innego. (W „Legjonach" Sienkiewicza, Jan Henryk Dąbrowski każe młodemu Markowi, wieczorem przy jeziorze Trazymenskiem, czytać opis diwjuszowy bitwy Hannibala). Wtedy przypomni się stary jak marmury Efezu, rytm wielkiego rapsodu:

„Menin aeide thea Peleiadou Achilleos
Oulomenon he meri achaion alge theken
Pollas d ifthimus psychas Aidi proiapsen
Heroon autous de eloria theuke kynesin".

I niezawodnie nie będzie to normalna, polska, korespondencja z zagranicy. Cóż na to poradzę? Przepraszam. Wybaczcie.

* * *

Wyjeżdżamy około szóstej rano: gdy na alei Szucha bierzemy pełny bak benzyny do „naszej" „dekawki", jest zupełnie pusto, świeża zieleń, świergot ptaków. Potem droga na Kraków, Cieszyn z wielkim objazdem odcinka Radom — Kielce. Miasteczka biedne, żydowskie, odrapane, budzą się powoli. Tu i ówdzie cnotliwy obywatel bieli pracowicie swój stary płot. Jakaś rudera ,wpółrozebrana naprędce, dowodzi, że władza troszczy się o estetykę, a starosta nei chce pójść w odstawkę. Rusza się coś w Polsce! Krzepniemy — wbrew czarnym pesymistom i niepoprawnym wrogom entuzjazmu.!

Za jakąś wsią pierwszy, taki sobie wypadek. Na niespodzianym zakręcie błotnik tylnego koła nawiązuje zbyt gwałtowny kontakt z wielkim, bielonym kamieniem. Szczęściem, wbrew głupiemu przysłowiu o oczywistej zbędności „piątego koła u wozu", posiadamy w tyle nietylko piąte, ale i szóste. Kilku pastuszków pozostawiło owieczki i krowy i przygląda się z zainteresowaniem żelaznym wnętrznościom samochodu.

— A gdzie to jesteśmy?

—Kamienna Wola — odpowiada najbardziej wygadany.

Istotnie: kamienna. Podważony przez nas kamień leży jeszcze w rowie. Kamiennowolanie zachwalają nam wieś:

— Kościół niedaleko, czternaście gospodarztw, najzamożniejszy na 20 hektarów, dwa sklepiki...

— Jakie sklepiki?

— Jeden polski, a drugi żydowski.

(Nie o to mi chodziło, ale i to ciekawe.)

— A któremu lepiej idzie?

— Polskiemu!!!! — odpowiada cały chór.

— A czemu to? — pytam.

— Bo polski ma więcej ziemi, a żyd już nie ma...

— To co mu z tej ziemi?

— Ano ziemię sprzedaje i w interes jak brakuje, to pakuje! Żyd też miał ziemię, ale już wszystką sprzedał. O, tu miał, ta łąka była jego, tamto pole.. Wszystko posprzedawał i teraz nie ma z czego wkładać w sklepik! A polski ma. Dawniej mieli sklep razem...

— A ziemię wtedy sprzedawali?

— Nie..

Czternaście gospodarstw w Danji, Czechach czy Niemczech utrzyma dostatnio i trzy sklepy. W Polsce divi Julii Poniatowsci, który opłacalność gospodarstw wiejskich uważa za przesadę, nie utrzyma i sklepiku. W tych warunkach dwa sklepiki niszczą sie bie nawzajem. Chodzi tylko o to kto wcześniej z torbami pójdzie.

— A spółdzielni u was niema?

— Społ?....

Milczenie. Nie rozumieją. Na pięciu, do szkoły chodzi tylko trzech. Środek Polski. COP o miedzę. Przy szosie..

— Kooperatywy?

Najbardziej rozgarnięty zrozumiał. Okazuje się, że niema.

— No, a co z mlekiem robicie? Wozicie do miasta przecież.

— Nie wozim. Tak zostaje. —

I po chwili:

— Do miasta daleko. Wozić trudno. —

Istotnie, jednemu wozić trudno, zwłaszcza że miasto to to Konskie, gdzie dopiero dzięki COP-owi coś się przecie ruszać zaczyna. Ale oto typowy obraz. Polski ruch spółdzielczy, ten idący z góry, ten cieszący się kredytami rządowymi, ten kierowany przez byłego prezesa Wyzwolenia — Thugutto, robi istotnie wszystko ,tylko nie to, co normalny ruch spółdzielczy robił i robi na całym świecie. Fabrykuje pastę do butów, zresztą lichą, uzyskał koncesję drożdżową, co w naszych warunkach gospodarczego feudalizmu oznacza łatwe zrobienie miljonów, wydaje zeszyty szkolne na podłym coprawda papierze, ale zato z wersetami, po których możnaby sądzić, że spółdzielczość jest kładką do kolektywizmu. Natomiast to co wszędzie i zawsze było domeną rzetelnej spółdzielczości — handel zbożem i nabiałem, pośrednictwo w płodach rolnych między wsią i miastem — omija starannie, niczem Kamienną Wolę. Rezultaty? Rezultaty, że spółdzielnie ukraińskiego Masłosojuzu, prowadzone nie przez politykierów, a fachowców, mają swe filjale sprzedaży na Śląsku. Rezultaty? Że tymczasem na naszej wsi ceny płodów rolnych są niskie, w mieście znacznie wyższe, że pośrednictwo niewłaściwe łupi wieś i łupi miasto. A tymczasem centrale spółdzielczości będą robić miljony na drożdżach, fabrykować pastę do butów, wydawać liche zeszyty, może założą objazdowe kino...

Szeroki objazd na Kielce prowadzi przez Miedzianą Górę, muska drogą o COP. Jakby nie było coś się tam jednak rusza, coś robi. Słyszymy detonacje rozsadzanych skał, widzimy powstające budowle, ożywienie, ruch. I wieś tu jednak poznańczeje w dobrem tego słowa znaczeniu. Lepsze chaty, czyściej, porządnie, większe gospodarstwa. Dopiero przy Słomnikach i Miechowie znowu gorzej. Tamtejsza wieś żyje jeszcze w błogiem wspomnieniu czasów, gdy nocą, bywało, żaden mężczyzna nie spał w chacie. Wszyscy byli „na granicy". Stulecie przemytnictwa na pograniczu austrjacko - rosyjskiem — to były gospodarczo złote czasy. Dziś pusto stoją piękne jary, któremi w 1863 r. kwiat młodzieży krakowskiej, z ś. p. bratem Zdzisława Tarnowskiego i Stanisława Tomkowicza, słynnego znawcy Krakowa, przekradł się, by zginąć w walce nierównej, jary, któremi potem Belina, Leon Kozłowski i Wyrwa Furgalski ruszyli forpocztą Kadrowej: między temi dwoma epicznemi wydarzeniami, poprzedzonemi kościuszkowską batalją, ileż tedy nie poprzemycano towarów i bibuły!

O czwartej godzinie po południu Kraków jest wyludły. Radcowie poszli już na popołudniową drzemkę. Grupy słaniającej się ze zmęczenia młodzieży szkolnej spod Drui i Łopuszanki odklepują sennie kolejne stadja pielgrzymki narodowej, niczem w kościele parafjalnym stacje Męki Pańskiej. Dać się przyzwoicie wyspać tym dzieciakom, nie pędzić je galopem, mniej karmić oracjami przewodników, bardziej mlekiem, chlebem z masłem, kopiatą porcją lodów na plantach, — rezultat byłby właściwszy.

Za Krakowem szosa wyśmienita. Ten odcinek drogi do Zakopanego jest już gotów. Mrok zapadał nim wyjechaliśmy z miasta, jest ciemno, gdy skręcamy na drogę do Wadowic, grodu rodzinnego Emila Zegadłowicza. Właśnie jesteśmy na rynku tegoż grodu, gdy zaczyna padać deszcz ulewny. Że godzina jest jedenasta, przeto zajeżdżamy do hotelu. Nazywa się oryginalnie, a prosto: Hotel Wysogląda. Jest tamże i kino Wysogląda. Była i restauracja Wysogląda, ale się nie opłacała. Zastępca samego pana Wysogląda tłumaczy:

— To nie był żaden interes. Interes restauracyjny dzisiaj to tam, gdzie jest wojsko, koszary, korpus oficerski. Tacy to piją, a wódka trzyma restaurację. Starostwo też pije, ale to już nie to. Gdyby jeszcze była Izba Skarbowa...

Ale Izby Skarbowej niema. Zato właśnie teraz jest w Wadowicach trochę oficerów, w związku z remontem końskim, czy czemś podobnem. Siedzą w restauracji. Zastępca samego pana Wysogląda patrzy i wzdycha.

— Żeby tu była jaka granica, czy garnizon, czy pułk! Interes restauracyjny byłby murowany! —

Ale że wojska niema, murowanym nie jest. To też pan Wysogląd musi ograniczyć swój koncern do hotelu i kina.

Ksawery Pruszyński.

W niedzielnym numerze „Słowa" oprócz zwykłego materjału publicystycznego ukażą się następujące artykuły i feljetony:

A. BUJNICKI — Królewskie menu.

BILLARD — Melancholikom dla rozrywki.

Z. CHRZĄSTOWSKI — Mój brat Paweł.

(—) Czy armja czerwona może zwyciężać. Rewelacje zbiegłego lotnika sowieckiego.

KSAWERY PRUSZYŃSKI — Listy z nowej podróży. Podróż do Aten.

K. SZYCHOWSKI — Lockhead 14 runął.

W. WASIUTYŃSKI — Jan Stachniuk. Z cyklu: „Ludzie Młodego Pokolenia."

J. WYSZOMIRSKI — O kłamliwości.

Złe tylko dzieci nie grzebią złych nawet ojców

Wczoraj wyraziliśmy już zdumienie dlaczego zwłoki ostatniego naczelnika państwa polskiego przed zerwaniem dziejowego łańcucha zostały przewiezione tak cicho, jakgdyby pokryjomu. I dlaczego Stanisław August nie ma być pochowany na Wawelu?

W kościele św. Katarzyny w Petersburgu, na prawo w stronę zakrystji mieściła się płyta nad grobem naszego Króla i Wielkiego Księcia, na której rycerski Cesarz Paweł I kazał wyryć następujące epitaphium:

STANISLAUS AUGUSTUS
REX POLONIAE MAGNUS DUX LITHUANIAE
INSIGNE DOCUMENTUM UTRIUSQUE FORTUNAE
PROSPERAM SAPIENTER DIVERSAM FORTITER TULIT
OBIIT PETROPOLI CAL. FEBR. MDCCXCVIII
NATUS ANNOS LXVI
PAULUS I AUTOCRATOR
ET IMPERATOR TOTIUS RUSSIAE
AMICO ET HOSPITI
POSUIT

Przy tej sposobności zacytujemy apel, który red. Stanisław Mackiewicz w „Myśli w obcegach" w 1931 r. wniósł do Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie sprowadzenia zwłok królewskich do kraju:

W Petersburgu funkcjonuje osiem kościołów, lecz jest tylko trzech księży. Każdy kościół stanowi prywatną własność państwa. Może być wydzierżawiony tylko 20 osobom, które podpiszą, że biorą odpowiedzialność za budynek. Wynika stąd, że wśród polskiej ludności Petersburga jest 160 bohaterów! Jednym ze środków represyj, jest ciągłe żądanie remontów i odnawiań kościoła. Kościół św. Katarzyny w Petersburgu jest ciągle przymusowo odnawiany. Leżą tam zwłoki naszego króla — może złego, może winnego, może ukaranego bardziej, niż zasłużył. Ale złe są dzieci, które nie grzebią i nie pamiętają o grobach nawet złych ojców. Sprowadzamy i odbieramy od Moskali skarby sztuki, które Stanisław August zbierał, sprowadzamy je na Zamek, do Łazienek, pałaców, które on przyozdabiał, budował, gdzie swoją duszę artystyczną włożył. Na jego grobie widzi się on, już jako stary, stary pan, jak ten, co przychodzi na nabożeństwo w starem futrze. Rzeczy jego z Rosji wyjechały do Polski z powrotem — on został. PANIE PREZYDENCIE RZECZYPOSPOLITEJ... tam w Petersburgu na podłodze jest taki napis łaciński: Rex et Magnus Dux.

Dziś zwłoki Króla wróciły. Za winy swe ostatni król polski i całe jego pokolenie ciężką poniosło karę. Nie bądźmi pyszni wobec historji. Jeszcze nie wiadomo co o naszem pokoleniu i o naszych rządach ona napisze. Naszej przeszłości należą się honory. Protestujemy przeciwko grzebaniu ukradkiem dawnego naszego króla.

Motocyklem do Triestu

WYMARŁY PORT

Oko tak się już przyzwyczaiło do starych murów, do cudownych kościołów, że Triest razi: proste ulice, zwyczajne domy, żadnych zabytków — pfe, szkaradne miasto! .

Wszyscy tu umieją po niemiecku i na boku, gdy są pewni, że nikt nie widzi, wzdychają głęboko: — Ech, przed wojną to lepiej było...

Nie trzeba się zagłębiać w statystyki, by stwierdzić, że port zamarł. Wielkie baseny puste, stoi parę statków co wożą na plażę do Capodistrji, jest trochę łódek — mniej niż na Wilji. Dawny wielki, jedyny port Austrji jest dzisiaj jednym z setki portów włoskich. A że w złem miejscu więc i niepotrzebny zupełnie.

Mieszkańcy pocieszają się jak mogą: w każdym domu jest kawiarnia, wszystkie są pełne; — wzdłuż bulwaru nadbrzeżnego, na chodniku, leżą pokotem nagusy; bulwar jest najlepszą plażą w Trieście. wszyscy przychodzą tu się kąpać i opalać. Przejeżdżające auta muszą dobrze uważać by nie rozjechać plażowników.

RADOŚĆ KLOCI

W całych Włoszech Klocia nie zwiedziła więcej jak 2 — 3 kościoły, i to najmniej ciekawe. We drzwiach każdego przyzwoitszego domu sterczy zakrystjan — policjant i odpędza panie bez pończoch, z rękawami powyżej łokcia, z wydekoltowaną szyją, bez kapelusza. Przed św. Markiem beczy całe stado niewpuszczonych grzesznic, chustka do nosa na głowie czasem zastępuje kapelusz, — ale skąd wziąć pończochy i suknię przypominającą habit? Angielki wołają z oburzeniem:

— O no! Impossibile! Where a stupide...

Zakrystjanie są niewzruszeni i mają wzrok bazyliszków — wykrywają każdą niedokładność ubioru. Przeciętnego ucznia tyle razy w życiu nie wyrzucano z klasy za drzwi, co Klocię przez trzy tygodnie z kościołów. Zawiść ją ogarnia, gdy wychodząc z jakiejś katedry opowiadam, jak pięknie jest w środku. W Trieście ma spokój — kościoły są nowe, brzydkie, tylko ślepiec mógłby mieć ochotę je zwiedzić.

RUN ŻYDÓW

Na szyldach sklepów w Trieście i Fiume widnieją jakieś znane, niezbyt po włosku brzmiące nazwiska: Herskowic, Berkowitz, Klass, Jehuda Mosko...

Mussolini jako genjalny człowiek ma taki jak ja stosunek do żydów: nie znosi ich! Faszyści tępią żydów cicho, bez rozgłosu, ale grutownie. Izraelici na stanowiskach dyrektorów w bankach państwowych, w kasach oszczędności ujrzały na swym stole pewnego dnia, przychodząc do biura, treściwy liścik: Komunikujemy uprzejmie, że pańska prośba o dymisję została uwzględniona i z dniem dzisiejszym jest pan wolny!

Po Anschlussie żydzi rzucili się hurmem do granic włoskich.— Powstrzymano ich sprężyście. — Żadne wrzaski, że chcą tylko na tydzień, na plażę do Taorminy, do krewnych — nie pomogły, nie dostali prawa wjazdu.

Nacisk faszyzmu na żydów wciąż wzrasta. Dawniej żydzi polscy oblegali starostwa domagając się paszportów do Meranu, Viareggio, Rimini — na kurację. Dzisiaj ani im w głowie jechać do Włoch zato do konsulatów polskich w Italji zgłaszają się hordy z prośbą o wizy do Polski.

— Poco wy tam?

— My chorzy, my potrzebujemy się leczyć, my do Otwocka na kurację.

I żydzi z Abbazji tłumaczą, że doktorzy przypisali im kąpiele w Świdrze. Naturalnie zaraz się znajdą mędrki u nas co zakrzykną:

— No to świetnie, wpuszczać tych żydów jaknajwięcej. Przywiozą pieniądze, ożywią ruch...

Jeden żyd więcej zaszkodzi niż 10 worów złota pomoże.

Karol.

DLACZEGO DOTYCHCZAS NIE ZAPISAŁEŚ SIĘ NA CZŁONKA P. C. K.

Dzięki królowej Elżbiecie

po 88 latach odnalazła brata, którego uważała za zmarłego

Pani Amelja Howthorne jest starszą panią, liczącą 76 lat. Ze swą córką i zięciem mieszka na przedmieściu Londynu. Gdy młodzi pojechali do zajęcia, staruszka przekonawszy się, że przychodnia służąca zabrała się, jak codziennie, do sprzątania, zasiadła w saloniku w wygodnym fotelu i zaczęła czytać „Sketsch", który zięć przyniósł jej poprzedniego dnia, aby mogła przejrzeć ilustracje z czasu pobytu angielskiej pary królewskiej w Paryżu.

Na okładce magazynu widniała królowa Elżbieta, pochylająca się nad łóżkiem chorego Anglika w szpitalu w Lavallois. Jakież było zdziwienie staruszki, gdy w owym pacjencie poznała swego ukochanego brata, Johna, którego uważała za umarłego od lat 36-ciu.

Sędziwa kobieta ledwie mogła doczekać powrotu dzieci. Natychmiast opowiedziała im o swojem odkryciu. Rada w radę, wszyscy troje postanowili udać się do redaktora „Daily Heralda" aby z nim omówić sposób porozumienia się jaknajprędzej z bratem odnalezionym w tak cudowny sposób dzięki królowej Elżbiecie.

Redaktor wysłuchał chętnie opowiadania, a ponieważ fundusz dyspozycyjny „Heralda" jest dość obszerny, wyasygnował staruszce pieniądze na podróż do Paryża. Tak więc pani Howthorne poraz pierwszy w życiu znalazła się na kontynencie. Dotarła jednak szczęśliwie do szpitala. Gdy opowiedziała swą historję dyżurnemu lekarzowi, doktór zaprowadził ją do sali, w której leżał 80-letni John i chciał wskazał łóżko, ale okazało się to niepotrzebnem, bo już od progu brat i siostra poznali się.

— John — zawołała przybyła.

— Ameljo — odpowiedział starczy głos pacjenta.

Lekarz pozwolił gościowi spędzić cały dzień z pacjentem, który jest bardzo znany w Europie clownem. Był on w swojem życiu na różnych dworach królewskich, ale dziwnym trafem nigdy nie znalazł się na dworze angielskim. Wizyta królowej Elżbiety wzruszyła go niesłychanie, tembardziej, że dzięki niej odnalazł swą siostrę.

Obecnie John chce wycofać się z cyrku i spędzić resztę życia z tak cudownie odnalezioną siostrą.

W wiosce Henryka Forda

nie wolno jeździć samochodami

Dnia 28 lipca br. obchodził amerykański król samochodów, Henryk Ford 75-tą rocznicę urodzin. Z tej okazji zamieszcza prasa amerykańska bardzo ciekawe opisy Greenfield Village, istnego rezerwatu przeszłości Ameryki z przed 60-ciu lat, gdzie znajdował się pierwszy warsztat samochodowy obecnego multimiljonera. 75-letni Henryk Ford odwiedza często swoją pierwszą placówkę pracy, spoglądając w kierunku River Rouge, gdzie obecnie znajduje się jego królestwo, zakłady, produkujące samochody najpopularniejsze w Ameryce. W samem Detroit i okolicy pracuje 135 tysięcy ludzi, nie liczą zakładów Forda, rozsianych po całym świecie.

Co najciekawsze, to fakt, że w wiosce Forda Greenfield Village dozwolona jest tylko komunikacja konna. Na każdym kroku widnieją napisy: „Jazda samochodem zakazana!" Wioska ta, prawdziwy rezerwat przeszłości z 19 stulecia, oddycha spokojem, dostatkiem, wygodnem rozplanowaniem. Młyn dostarczający mąki i kaszy mieszkańcom, jest wiatrakowy, oświetlenie naftowe. Dla tych ludzi nie istniał wielki Edison, chociaż Ford przewiózł tam pierwsze jego laboratorjum, jako serdeczniejszy przyjaciel zmarłego genjalnego wynalazcy.

Aby stworzyć sobie tę kopję 19 stulecia, w której zamierza spędzić ostatnie lata życia, wyszukiwał Ford w całej Ameryce najstarsze historyczne w dziejach domy i przenosił je do Greenfield Village belka za belką, kamień za kamieniem. Stoi tam przebudowany w ten sposób znany warsztat braci Wright, w którym skonstruowano pierwszy rower. Obok widać starą gospodę wiejską, jaką spotykamy w opisach Karola Maya. O kilkanaście metrów dalej stoi budynek szkoły, w której Ford zbierał jako mały chłopiec pierwsze cięgi za nieuctwo. W malowniczym parku Menlo widać dokładnie przebudowane laboratorjum Edisona zaopatrzone we wszystkie prymitywne przyrządy wielkiego uczonego. Gdy pewnego razu Edison przybył do Greenfield na zaproszenie Forda, z melancholijnym uśmiechem spoczął w starym fotelu, w którym siedział przed 50-ciu laty, gdy konstruował pierwszą żarówkę.

— Henry, prawie wszystko jest tak, jak było. A jednak to nie to samo...

— Więc czego tutaj brakuje, aby kopja twojego warsztatu pracy była wierna? Powiedz, a może mi się uda uzupełnić ten brak!

— Brak nieporządku i zasmiecenia! — rzekł Edison. — Jest tutaj straszliwie czysto i schludnie!.

Dwa gromy uderzyły jednocześnie

w ojca i córkę w dwóch wsiach

WIELUŃ. Podczas burzy, jaka przeszła nad powiatem wieluńskim zanotowano niecodzienny wypadek porażenia przez pioruny ojca i córki.

Na polach os. Działoszyn w czasie ustawiania zboża, rażona została piorunem 33-letnia Bronisława Stefanek, ponosząc śmierć na miejscu. W tym samym czasie w sąsiedniej wsi Trebaczew porażony został piorunem ojciec Stefankowej 56-letni Franciszek Stefanek, również przy pracy w polu.

Porażonego umieszczono w szpitalu Zbieg wypadków porażenia gromem ludność miejscowa komentuje na swój sposób.

ORGANIZACJA NIEMIECKIEGO FILMU

BERLIN, lipiec 38.

T. zw. zdolności organizacyjne wymagają zasadniczego warunku: znajomości rzeczy, którą zamierza się organizować. Na dalszem miejscu stoi świadomość celów, a potem ta nieuchwytna tajemnica wyczucia najwłaściwszej drogi. Przedewszystkiem jednak należy podchodzić do tematu z przygotowaniem bardzo sumiennem i dokładnem. Sam talent i najlepsza nawet intuicja nie wystarcza.

Niemcom możemy wiele zarzucać, dużo widzieć w nich nieprzyjemnych dla nas cech, ale stwierdzić trzeba z całym objektywizmem, że są doskonałymi organizatorami, bo poza dalszemi warunkami spełniają ten pierwszy, zasadniczy, o którym była tylko co mowa.

Film niemiecki został zbudowany, jeżeli tak można powiedzieć, na świeżo. Wszystko, co było przedtem, nie liczy się. Duża konstrukcja obliczona z precyzyjną dokładnością godna jest uwagi. Bynajmniej am przez chwilę nie należy sądzić, że spostrzeżenia tu zebrane stanowić mają nienaruszalny wzór dla naszego filmu. Wystarczy odrobina krytycyzmu, nieco rzutkości i znajomości własnego terenu, a raczej jego potrzeb, aby z dobrych wzorów wybrać to, co nam jest przydatne, a pominąć to, co gdzieindziej być może najlepsze ale u nas zbyteczne i niewłaściwe.

Tutaj miejsce na małą dygresję teoretyczno - programową. — Jesteśmy świadkami, że państwa totalistyczne centralizują swoją produkcję filmową w mniejszym lub większym stopniu narzucając jej kierunek pracy. Twórczość artystyczna, a taką jest wybitnie także i film, wymaga w dużym stopniu wolności działania. Stanowczo jednak odrzucić należy twierdzenie, że w ramach stotalizowanej produkcji filmowej wogóle niemożliwe są osiągnięcia artystyczne. Talent prawdziwy znajdzie dla siebie ujście zawsze, a inwencji artystycznej nie stworzy się nawet w ciepłarnianej atmosferze, skoro jej nie przyniesie w sobie sam artysta, autor, reżyser. Nie znaczy to jednak, by dążyć do ograniczania twórczości i narzucać jej warunki, tematy do wykonania. Chodzi poprostu o stwierdzenie, że talentu nikt nikogo nigdy nie nauczył i nie nauczy. Natomiast dobrej organizacji można się nauczyć, naturalnie inteligentnie ją potem u siebie stosując.

Konkretyzując, dochodzimy do wniosku, że o ile w odniesieniu do całości produkcji filmowej nie jest wskazane zastosowanie zbyt rygorystycznych ram o tyle konieczne jest wyraźne i dokładne skonstruowanie programu działania w dziedzinie filmu, który jest nie tylko rozrywką ale i ważkim elementem społecznym, kulturalnym, obywatelskim.— Rolu państwa zdaje się nie ulegać tu żadnej dyskusji. Szczególnie jeżeli chodzi o film kulturalny, oświatowy i społeczny. Pod tym kątem ujęte są poniższe obserwacje.

Nadrzędnym czynnikiem, władzą zwierzchnią jest w Niemczech dla filmu, podobnie jak dla teatru i prasy Ministerstwo Propagandy, a ściśle jego departament zwany „Reichsfilmkammer", gdzie ześrodkowują się wszystkie sprawy dotyczące filmu. Skolei dalszy podział uwzględnia poszczególne „Fachgruppen", t. zn. wydziały takie jak produkcji, handlowy, zagraniczny, a przedewszystkiem nas interesujący dział filmu kulturalnego „Fachgruppe Kultur — Film". Tak wygląda hierarchiczna drabina władz filmowych Rzeszy.

Osobno stoją, włączone do poszczególnych resortów wydziały filmowe, w Min. Kolei, Rolnictwa i najwięcej rozbudowany dział Min. Oświaty, Ministerstwo to posiada odrębną instytucję „Reichsstelle für den Unterrichtsfilm", prowadzącą całą akcję wytwarzania, dostarczania i wyświetlania filmów szkolnych. (Do zagadnień ostatnio poruszonych wypadnie jeszcze powrócić, narazie ograniczając się tylko do schematycznego ich zanotowania).

Wytwórnie niemieckie siłą rzeczy zebrane są w Berlinie. Poza kilkoma mniejszemi na pierwszem miejscu stoi największy bodaj w Europie koncern „Ufy". Tyle razy używany skrót być może nie dla wszystkich jasny, oznacza: „Universum Film Aktiengesellschaft". Olbrzymie tereny w Bebelsberg pod Berlinem i ogromne wyposażenie techniczne równać się może z wielkiemi wytwórniami amerykańskiemi. Osobny dział „Ufy" obejmują atelier dla filmów naukowych i kulturalnych.

Drugą dużą wytwórnią jest „Tobis", posiadający również koło Berlina własne tereny i hale do zdjęć. Obie wytwórnie ostatnio postarały się o wydatne zwiększenie obsady aktorskiej, tak, że prócz dawniejszych sław ukażą się na ekranie nowe twarze.

„Terra", „Degeto", „Nordlandfilm" a z prowincjonalnych większych „Bawaria" w Monachjum — to są większe placówki filmowe Niemiec.

Ogólna ilość kinoteatrów na terenie Rzeszy wynosi 5446, w samym Berlinie kin jest ponad 400 (dla porównania warta przypomnieć, że w Polsce mamy około 800 kin łącznie z niememi)

O roli, jaką państwowe czynniki widzą w filmie, świadczy założenie Akademji Filmowej z działami: artystycznym i gospodarczym. Dokładny program nauki na wszystkich wydziałach został opracowany bardzo starannie i obliczony na 2 do 4 lat, zależnie od przedmiotu. Dla orjentacji warto przytoczyć specjalności, które w swym programie Akademja przewiduje. A więc na wydziale artystycznym kształcić się będą, aktorzy, reżyserzy, muzycy, dekoratorzy, autorzy oczywiście każdy z dodatkiem przymiotnika „filmowy".

Wydział techniczny obejmie szkolenie operatorów, techników światła i dźwięku, mechaników projekcyjnych, techników specjalistów trickowych.

Wydział gospodarczy dotyczy wyszkolenia handlowego, organizacji produkcji, wynajmu, prasy.

Całkiem osobną jako samodzielny Instytut Akademję pomyślany jest Zakład Filmów Kulturalnych. I znów nie poraz pierwszy możemy się przekonać, jak wielką wagę do tej gałęzi kina przykładają Niemcy. Uchodzić już zresztą mogą za specjalistów i wybitnych fachowców na polu filmu kulturalnego we wszystkich jego odgałęzieniach. To, co dotychczas zrobili i pokazali na ekranie i to, co zamierzają zrobić nie jest tylko przechwalaniem się i bluffem reklamowym. Jeżeli w czem, to właśnie w filmie kulturalnym należy czerpać z Niemiec najlepsze i solidne wzory.

Ilustracją gruntownego i rzeczowego stosunku do zagadnienia filmu, jako ważnej dziedziny nowoczesnej kultury jest stałe opracowywanie bibljografji fachowej. Robią to zarówno wydziały urzędowych władz, jak i pracownicy wytwórni, a w pierwszym rzędzie pisma specjalne. Najstarsze niemieckie filmowe codzienne pismo fachowe „Licht Bild, Bühne" daje co miesiąc drobiazgowo zestawione pozycje bibljograficzne, posegregowane według działów. Znajdziemy więc tu prace i artykuły, jakie się ukazały w druku w Niemczech i zagranicą na temat kina, filmu i zagadnień z niemi związanych. Technika filmowa, przemysł, strona prawna, historja, pedagogika, krytyka i mnóstwo najróżniejszych tematów przejrzyście usystematyzowanych dostarcza wartościowego materjału każdemu, kto się chce filmem zająć nie dla amatorstwa ale fachowo i gruntownie.

To też prowadząc jakiekolwiek studja filmowe niesposób nie sięgnąć do pomocy świetnie zorganizowanej maszyny niemieckiej. A w dziedzinie filmu kulturalnego przedewszystkiem.

Tadeusz Cieszewski.

Wstrzymanie budowy

gimnazjum niemieckiego w Bydgoszczy

Budowę gimnazjum niemieckiego w Bydgoszczy wstrzymały władze miejskie.

Zarządzenie to umotywowane jest tem, że w czasie szczegółowego opracowywania przez władze miejskie planu rozbudowy północno - wschodniej części Bydgoszczy, w której właśnie znajduje się będący na ukończeniu gmach gimnazjum niemieckiego, wysunęło się ważne zagadnienie natury urbanistycznej, zasadniczo kolidujące architektonicznie z układem kompleksu budynków. Niemieckie gimnazjum miało być uruchomione z nowym rokiem szkolnym.

Niemiecki zarząd szkolny wniósł odwołanie do władz wojewódzkich.

—::—::—

Dlaczego w Polsce mało się czyta

Bardzo ciekawą informację znajdujemy w jednym z ostatnich numerów „Wład. Literackich". W paryskiej księgarni Flammarjona wystawiono życiorys Marji Curie - Skłodowskiej, napisany przez córkę jej — Ewę, w wydaniu oryginalnem, francuskiem oraz w dziewięciu dokonanych dotychczas przekładach, przyczem przy każdej z tych książek podano cenę we frankach. I cóż się okazuje?

Podczas, gdy egzemplarz francuski kosztuje tylko 25 FR., cena egzemplarza przekładu polskiego wynosi aż 140 (!) franków, ustępując miejsca jedynie przekładowi angielskiemu, który sprzedawany jest w cenie 144 franków za egzemplarz. W przekładzie węgierskim książka Ewy Curie kosztuje 32 fr., włoskim 37 fr., w hiszpańskim — 83 fr., w holenderskim — 88 fr., — i t.d.

Zestawienie powyższe dowodzi aż nadto przekonywująco, że książki w Polsce są drogie, bardzo drogie. Mamy tu na myśli przedewszystkiem książki istotnie wartościowe, a nie beletrystyczną tandetę, nie mniej zresztą drogą w stosunku do swych wielce wątpliwych „walorów". Wprawdzie w Anglji książki nie są tanie, nie można jednak porównywać angielskiej stopy życia i angielskich zarobków z tem, co jest przeciętną w Polsce. Czy to nie drożyzna książki jest właśnie przyczyną słabego u nas rozwoju czytelnictwa i stałych narzekań księgarzy?

—::—::—

Repertuar teatrów i kin stołecznych

TEATR NARODOWY: „Zielony frak".

TEATR POLSKI: „Subretka".

TEATR LETNI: „On i jego sobowtór.

TEATR NOWY: „Kochanek to ja".

TEATR MAŁY: — nieczynny.

TEATR KAMERALNY: „Zbyt liczna rodzina".

TEATR MALICKIEJ: „Na fali eteru.

TEATR 8.15: „Krysia Leśniczanka"

MAŁE QUI PRO QUO: nieczynny

CYRULIK WARSZAWSKI: — nieczynny.

KINA.

ATLANTIC: „Wyspa skazańców".

BAŁTYK: „Więzy miłości".

CAPITOL: „Wrzos".

CASINO: „Piętnastolatka".

COLOSEUM: „Zaginiona Dżungla"

EUROPA: „Ludzie Wisły".

FILHARMONJA: „Muzyka dla ciebie".

HOLLYWOOD: Nieczynne.

IMPERJAL: „Strzał w nocy".

PALLADJUM: „Ostatni akt zemsty".

PAN: „Pierwsza miłość".

RIALTO: „Ludzie Wisły".

ROMA: „Maską lorda Blakeneya".

STYLOWY: „Patrol na pustyni".

STUDJO: „Indyjski grobowiec".

ŚWIATOWID: — Nieczynny.

VIKTORJA: „W cieniu Krzyża".

W Krakowie

TEATR MIEJSKI: „Szóste piętro".

W Poznaniu

TEATR POLSKI: „Nagroda Eternecka".

We Lwowie

TEATR WIELKI: „Romans z urzędem skarbowym".

W Grodnie

KINA:

UCIECHA: „Rose Marie".

HELJOS: „Czy Lucyna to dziewczyna" i rewja „Co w trawie piszczy"

MALEŃKIE LUX: „Zbudź się i żyj"

—::—::—

O spadek po Jagodzie

A.T.E. donosi z Tarnopola, że w kancelarji jednego z adwokatów tarnopolskich zgłosiła się wieśniaczka z Borek Wielkich, z prośbą o wszczęcie kroków sądowych, celem przyznania jej jako siostrze 4 morgów roli, które należały do straconego w Moskwie Wawrzyńca Jagody. Kilku świadków twierdzi, że stracony Jagoda był z pochodzenia rolnikiem, zamieszkałym we wsi Borki Wielkie. W imieniu wieśniaczki Anny Jagody zamieszkałej w Chudzinie adwokat wszczął kroki, celem przyznania jej spadku.

Prawdopodobnie zachodzi tu pomieszanie osób, albowiem stracony w Moskwie komisarz Jagoda był żydem i w Polsce, skąd pochodził nie posiadał żadnego gospodarstwa rolnego.

OD WYDAWNICTWA

1) Przy wypełnianiu przekazów prosimy o **czytelne** podawanie imienia, nazwiska i adresu oraz o wymienienie **na jaki cel** pieniądze są przysłane — prenumerata, ogłoszenie, ofiary.

2) Przy komunikowaniu nam o zmianie adresu prosimy podawać oprócz adresu nowego także i **adres dotychczasowy.**

PIERRE NORD

66)

Podwójna zbrodnia na linji Maginota

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY Z FRANCUSKIEGO

O mały włos byłby się poddał. I ostatecznie instynkt samozachowawczy a nie sparaliżowana wola, pozwolił mu utrzymać się prętów drabiny. Powoli, bardzo powoli odzyskał zmysł równowagi.

Myśl, że przecież inni przechodzą tędy otrzeźwiła go do reszty. Był wściekły. Chwilę jeszcze walczył. Potem postanowił liczyć stopnie i w przybliżeniu określić odległość. Te obliczenia, napozór bezprzedmiotowe, zajęły mu umysł i pozwoliły posuwać się dalej. Jednak chciał już zrezygnować i rozpocząć wędrówkę w odwrotnym kierunku, gdy ostatniem, rozpaczliwem spojrzeniem pochwycił w górze ciemno - niebieski płatek confetti. Niebo... w kilka minut później rozciągnął się jak długi na stałej, twardej ziemi.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy przestał odczuwać kołysanie i gdy rytm serca prawie całkowicie powrócił do normy. Noc była jasna i piękna. Wpełznął za krzak i próbował rozpatrzeć się w terenie. Znajdował się mniej więcej w odległości dziesięciu metrów od miejsca, w którem droga, idąca od strony południowej, przecina przełęcz pomiędzy dwoma szczytami Starego Fritza. Widać było białawą wstęgę, płynącą w dół serpentyną po zboczach, aby później, na północ, zagubić się w równinie, stanowiącej pole obstrzału fortu. Koniec jej można było odgadnąć przy ciemniejszym pasie, jaki tworzył las pomiędzy równiną a niebem.

Tam właśnie, gdzie droga wchodzi do lasu, w tem miejscu niewidocznem dla Ardanta, szpieg miał się co noc meldować o pierwszej, aby zdać raport swoim przełożonym.

Kapitan spojrzał na zegarek. Ów człowiek nie był chyba daleko od miejsca naznaczonego spotkania. Przed upływem kwadransa zapewne nic się nie będzie działo.

Kapitan wyciągnął się na wznak i czekał. Eskadra bombowców, lecąc grupą, przedarła niebo, kierując się na wschód. Samoloty leciały dość nisko. Groźny warkot potężnych motorów zagłuszył wszelkie ziemskie odgłosy.

— Ślicznie — pomyślał Ardant. — Doskonale dopełniają obrazu.

Zabawił się chwilę śledzeniem świetlnej trasy ich ogni, przypominających gwiazdy, spadające w zwolnionem tempie.

Prawdopodobnie właśnie wtedy Le Guenn przeszedł drogę w odległości dziesięciu metrów, a Ardant wcale go nie spostrzegł. Kiedy wznowił swoje czaty o godzinie dwunastej pięćdziesiąt, w odległości stu do stu pięćdziesięciu metrów na północ zobaczył wyraźnie ciemną sylwetkę, biegnącą w kierunku lasu. Za nią olbrzymiemi susami, przeskakując od krzaku do krzaku, ciągnęła druga postać, jak oderwany fantastyczny, ale wierny cień.

Le Guenn i Capelle byli jedynymi ludźmi, którzy mogli o tej porze poruszać się na zewnętrznym terenie fortu. Pierwszy z nich, który wyszedł przez główną bramę na południu, musiał przejść drogę koło Ardanta, drugi zaś wyszedł kanałem około stu metrów na północ od przełęczy. Ale Ardant w żaden sposób nie mógł teraz dojrzeć, który z nich ściga a który jest ścigany.

Decydująca walka rozpoczęła się w nieprzewidzianych i niebezpiecznych warunkach. Zasadzka mogła się nie udać, lub dać fałszywy wynik. Ponury niepokój ogarnął kapitana.

— Idjota! — pomyślał. — Daj Boże, aby wszystkiego nie popsuł!...

Zdarza się często w literaturze kryminalnej, że jeden człowiek ściga drugiego w polu, wśród ciemnej nocy. Ale Ardant doskonale wiedział z własnego doświadczenia, że ludzie cywilizowani nie są już zdolni do podobnych wyczynów. Albo ścigający tak bardzo obawia się zdradzić swoją obecność, że zwalnia kroku i gubi ślad, albo też gorączka pogoni zbyt szybko niesie go naprzód i wówczas wpada. W obecnym wypadku przedewszystkiem należało obawiać się drugiej możliwości. Mogła ona wywołać nowy i zgoła niepotrzebny rozlew krwi.

Nic jednak nie można było zaradzić. Tamci znikali już w ciemnej strefie, w której wstęga drogi nagle się urywała.

* * *

Dokładnie w punkcie 47 — 72 planu kierunkowego rejonu, w miejscu, gdzie droga wchodziła do lasu, za pniem pierwszej grubej sosny człowiek jakiś czekał, nieruchomy i milczący, mimo niecierpliwości, która podrywała go z miejsca. Spojrzał na zegarek i westchnął. Pierwsza godzina. Znów wszystko na nic!

Nagle fala lekkiego południowo - zachodniego wiatru przyniosła mu do ucha niewyraźny i ledwie dosłyszalny szmer, który wnet zgubił się w szeleście liści. Powietrze zafalowało przez chwilę — i ponownie zapadła cisza.

I nic. Minęło pół minuty. Czatownik wstrząsnął się. Był rozczarowany. I nagle usłyszał odgłoś kroków, zbliżających się szybko i coraz wyraźniejszych.

Nie miał już żadnych wątpliwości. Odważnie wyszedł z ukrycia. W blasku księżyca jego sylwetka objawiła się w całej swej okazałości, w szerokim płaszczu, który spływał aż do ziemi. Wyglądał potężnie, niczem budka strażnicza.

Na twardym gruncie ubitej drogi kroki zwolniły, zawahały się jakby, poczem zbliżyły się jeszcze więcej i wreszcie zamilkły.

Czatownik odetchnął głęboko, poczem wyraźnie i bez pośpiechu zanucił pierwsze takty pieśni „Horst Wessellied". Przybysz wyszedł z poza osłony krzaków, ale nowy odruch podejrzliwości zatrzymał go w odległości piętnastu metrów od skraju lasu. Nastąpiło kilka chwil kompletnej ciszy i gorączkowego oczekiwania, aż do momentu, kiedy szpieg zagwizdał dalszy ciąg melodji, od miejsca, w którem tamten przerwał. Jego gwizdanie, urywane wskutek braku tchu, ucichło w pewnej chwili.

Oczekujący zbliżył się, narazie bardzo ostrożnie i szepnął:

— Nun, was los?

Błysnęła jego płaska czapka.

Obcasy przybysza stuknęły ostro w ciszy nocnej. Z głębokiem westchnieniem ulgi wyrzekł matowym głosem:

— Endlich. Gott sei dank! Das könnte nich weiter dauern, Oberleutnant Kuhnecke. Zum Befehl.

D. C. N.

Zdzisław Chrząstowski

MÓJ BRAT PAWEŁ

Krnąbrny, małomówny, niezawisły. Zdolnościami nie grzeszy, lgnie tylko do łaciny i greki. Żartów nie lubi. Starszego brata bije, gdy ten co zbroi, młodszego t. j. mniej ignoruje. Na wakacje przyjeżdża do Teodorowa, ale woli mieszkać wraz z wyżłem na uboczu „w oficynie". Stamtąd zwykł chadzać do nas przez dziedziniec w linji prostej, depcząc notorycznie trawę i kwiaty.

Rzadko się do czegoś zobowiązuje. Gdy jednak ma coś przyrzec, mruknie pod nosem — verbum nobile — i dotrzyma.

Zawsze wyprostowany, dumny sztywny, nad wiek poważny.

Mój brat Paweł.

. . . . . .

W sąsiedztwie roi się od Lusiów, Lolusiów, Lulisiów. Janek Girdwoyń jest właśnie Janek, a nie Jan, Tadzio Świechowski z Kajrowa jest Tadzio, Kazio Rakowski z Narkiszek jest Kazio — a przecie wszystko to już istne Budrysy, barczyste i wąsate. Siedzi na swych Widuklach pan Andrzej szpakowaty, niczem szpaki w jego wolancie, a nikt go inaczej na Żmudzi nie nazywa, jak Andrzejek Staniewicz. Jest w Pużach mój kuzyn Puk — młody drągal, którego niania kiedyś nazwała z litewska Stepuk, zamiast wymówić prawidłowo Stefuk. I oto Stefuk został na całe życie Pukiem.

Jeden tylko Paweł jest zawsze Paweł, jak starożytny Katon był Katon.

Największą wzgardą darzy mazgajów i mazgajstwo. Nas, rodzeństwo ma za nic, ponieważ pozwalamy się całować na dzień dobry matce i ponieważ mamy zdrobniałe imiona: Antoś, Zdziś, Anulka.

. . . . . .

W szóstej klasie spoliczkował profesora — podobno w odpowiedzi na zarzut kłamstwa. Za karę wydalono go z gimnazjum i to z tak zwanym „wilczym biletem", to znaczy bez prawa powrotu do jakiegokolwiek innego zakładu naukowego. Nieszczęście! A interesy nasze po śmierci ojca były już fatalne.

Zrozpaczona matka udała się do władz. A więc najpierw do Wilna, do „Popieczitiela Wilenskago Uczebnago Okruga". Nic z tego! Skolei do Petersburga do szefa departamentu. Też nic. Kołatała długo w ministerjalnych poczekalniach. Dostała się do ministra.

Wreszcie — westchnienie ulgi: minister cofa „wilczy bilet". Zostanie przyjęty spowrotem do gimnazjum, jeżeli przeprosi profesora. Taki drobiazg.

Więc matka prosi o drobiazg.

Odmówił.

Zły syn.

. . . . . .

Wrócił wobec tego, mimo kończących się wakacyj do Teodorowa. Jak zawsze twardy, nieugięty, lakoniczny, lapidarny. Jak zawsze z chmurą na czole i promieniem w oczach. Ale tuśmy go oblegli i przyparli do muru. Prosimy go, błagamy tym razem już wszyscy — nie tylko matka. Całe rodzeństwo. Ja, siostra, starszy brat. Przyjechał nawet w tym celu i kuzynek Puk. Wszystko daremnie. Uparł się. Przeprosić? Nigdy. Matka? Da jej inną kompensatę. A my rodzeństwo? Na nas gwiżdże.

Zły brat.

. . . . . .

A może pojedź zagranicę — proponuje mama — wilczy bilet tam nie sięga, tam się możesz kształcić dalej.

— Szkoda pieniędzy.

— Nie szkoda, skoro chodzi o przyszłość.

— A z czego mama będzie płacić? Nie pojadę. Nie chcę nic nikomu zawdzięczać. Nikogo niczem obarczać. Pójdę na byle posadę i już.

— Bez nauki nie przysporzysz pożytku krajowi.

— Powiedziałem, tu nikogo nie przeproszę, a za granicę nie pojadę.

— A idea, a kraj?

— To trudno. Verbum nobile debet esse stabile.

Zły Polak.

. . . . . .

W dwa lata potem przyjechał do nas z owej posady na parotygodniowy urlop.

Zamieszkał jak zawsze w oficynie i zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Tylko przestał psuć trawniki i nie przyjmował od matki najmniejszych prezentów. Stał się tak oszczędny, jak dawniej rozrzutny.

Zmiana ta była ogromnie na czasie. Długi w Teodorowie rosły. Hipotek przeróżnych moc. Majątek, — jak dojna krowa, któ ra przestaje dawać mleko. Antoś, młody oficer kawalerji, wciąż popisuje się manją kupowania koni i przysyła weksle, które trzeba spłacać; Anulka kończy klasztor Św. Katarzyny i też poważnie obciąża teodorowski budżet; no i ja także stanowię pokaźną pozycję w wydatkach. Jeden Paweł nie prosi o nic, nie potrzebuje niczego i wszystkiego sobie odmawia.

Na wszystkie pytania albo pogwizduje beztrosko, albo odpowiada szorstko, że mu się świetnie powodzi. A ponieważ irytował się czasem i dodawał do tego niemiłe epitety, więc wkrótce przestaliśmy się tą sprawą interesować.

Naogół Paweł unosił się rzadko, zato w chwili gniewu czerwieniał tak, jak gdyby go miała trącić apopleksja. Widocznie dlatego ma teraz stale wypieki na twarzy.

Któregoś dnia, gdy zakaszlał silniej niż zwykle, mama zaniepokoiła się nie na żarty.

— Co z tobą, jesteś chory?

— Nie.

— Tak, tak jesteś chory, wyślę się do Zakopanego lub zagranicę.

— Znowu z tą zagranicą. Dajcie mi święty spokój. Nic mi nie jest.

— Naprawdę? Verbum nobile?

Zakaszlał i zakrztusił się tak, że długo nie mógł odpowiedzieć. Wreszcie kiwnął głową potakująco i wyszedł.

. . . . . .

Odwiedzał nas bardzo rzadko — nie widywaliśmy go latami. Więc pewnego razu wybrałem się do niego sam, delegowany przez matkę z zapytaniem, czy mu czego nie potrzeba.

Dworzec w Szawlach. W drzwiach poczekalni niższy funkcjonarjusz kolejowy. Lewą ręką gładzi kwadratową łopatę swej brody. w prawej potrząsa niemniej zawiesistym dzwonem sygnałowym, oznajmiającym odejście pociągów. Monotonny, ochrypły głos zapowiada:

— Szawli — Wilna — Minsk — Bobrujsk — Gomiel — Romny — pierwyj zwonok! Pieriesadka Koszedary — Kowna — Wierżbołowo!

Dla mnie aktualna z tego jest ta odnoga „Libawo - Romienskoj żelieznoj dorogi", która się nazywa Koszedary — Kowna — Wierżbołowo

Siadam tedy do pociągu, a po kilku godzinach robię „pieresadkę". Mijam stację dobrze znanej „Kowny", aby wylądować w Wierzbołowie.

Pociąg staje.

Stacja kolejowa na granicy rosyjsko - niemieckiej. Granica dwu państw, dwu kultur, dwu światów. Po obu jej stronach każde z państw nastawiło swe kły i pazury w postaci żandarmów i urzędników celnych. A tłum ludzki, zalękniony, steroryzowany, przejęty grozą rewizji, przenika powoli przez szereg kontrolujących urzędników i żandarmów, jak rzeka wstrzymywana w swym biegu przez szluzę. Ci, których przepuszczono, odpływają jak radośnie szumiący wodospad. Po tej stronie szluzy pozostają ludzie smutni, ponurzy, zrozpaczeni.

Gdzie brat? Zajęty, jak wszyscy urzędnicy. Co za niemiłe zajęcie! Nigdy na jego miejscu nie zgodziłbym się na taką funkcję.

Ale zato ile ekspresji w oczach ludzi przebywających granicę! Co za gama uczuć, myśli, instynktów, namiętności — ile strachu, ulgi, chciwości i szczęścia! Każdy spieszy do jakiegoś swoistego celu, który jest jego kościołem. Można stać godzinami przy tej śluzie ludzkiego potoku i godzinami wpatrywać się w gwarne fale różnobarwnego tłumu, jak w fale wodospadu na rzece.

Człowiek pojedyńczy jest, jak mała kropla wody. Dopiero tłum stwarza wrażenie mistycznej potęgi, musującej pod wpływem tajemniczych sprężyn postępowania każdego człowieka.

Czyż to nie jest ciekawe? Niewątpliwie.

A jeśli tak, to może i warto spędzić życie nad potokiem musującym pianą uczuć, myśli, instynktów, namiętności, strachu, ulgi, chciwości i szczęścia. Wśród wielkiej powodzi wszelakiego świństwa wypatrywać przebłysków człowieczeństwa. Budować z tych okruchów wizję człowieka i wizję Boga.

Trzeba się dowiedzieć, gdzie brat mieszka. Zapytuję o to pierwszego czynownika, który zagrodził mi przed chwilą drogę z miną buldoga. Wymieniam nazwisko. Buldog uśmiechnął się i udzielił szczegółowych informacyj.

Przeciskam się przez tłum. Idę teraz labiryntem korytarzy tamożni. Znów trzeba kogoś zapytać. Przede mną pomarszczony pergamin pod czapką wyższego urzędnika — twarz mumji i oczy mumji.

— Gdzie Paweł Wilhelmowicz?

— Pożałujsta, na prawo, potem na lewo.

I znów uderzyło mnie, że mumja uśmiechnęła się na wspomnienie brata, niczem wiosna.

To samo zaobserwowałem na twarzy posługacza, sprzątającego jego pokój.

— Zostaw sprzątanie i idź po Pawła Wilhelmowicza.

— Nielzia. Oni kazali sprzątać, a oni — sierdityj barin.

Czekam tedy cierpliwie. Rozglądam się po pokoju. Bieda z nędzą, a ze starych murów wyziera upiór wilgoci. Trzeba otworzyć okno i wyjrzeć na zatęchły, zadymiony i zakurzony świat.

Otwieram. Wraz z powiewem wiatru uderzył we mnie gwar peronu, zgrzyt hamulców, stuk buforów i przeciągłe gwizdy parowozów. A oto dzwonek sygnałowy i czyjś ochrypły, monotonny głos oznajmia:

— Kowna — Wilna — Minsk — Bobrujsk — Gomiel — Romny — pierwyj zwonok! — Nie, tego już zawiele! Zamykam okno spowrotem.

A oto i on — sierdityj barin, znany tu widocznie z porywczego temperamentu. Kroki szybkie, ruchy stanowcze, szorstkie. Postawa prosta, głowa piękna i dumna. Rysy regularne suche.

Usta zawsze zaciśnięte, jak gdyby bały się wypowiedzieć, co czują.

Brwi zawsze groźnie ściągnięte, jakgdyby chciały cofnąć, ukryć i uwięzić spojrzenie przejasnych, przedobrych oczu.

Zobaczył mnie zdaleka. Ruszył ku mnie szybciej, a potem, jakgdyby na przekór samemu sobie zwolnił nieco kroku. Oczy spojrzały przed siebie jeszcze jaśniej, zato brwi ściągnęły się jeszcze groźniej. Czy jest zły, czy się cieszy z mojego przyjazdu? Niewiadomo.

Wszedłszy do pokoju zwrócił się najpierw do służącego — swoim zwyczajem sucho i rozkazująco.

— Iwan!

Służący skoczył ku niemu z gotowością.

— Sprzątnięto?

— Tak toczno, barin.

— Mołodiec. Stupaj.

Służący oddalił się z taką miną, jak gdyby go spotkało wielkie szczęście. Teraz ja biegnę ku niemu.

— No bracie, bywaj! Przywożę pocałunek od matki!

— Bywaj. Tylko bez czułości. Dość tam dziewcząt i panien naściskałeś w Kownie. Chake hand. Uścisk dłoni wystarczy.

— —Matka kazała dowiedzieć się o twoje zdrowie i czy ci czego nie trzeba.

— Najpierw siadaj i opowiadaj o matce i o sobie.

. . . . . .

Nadeszła chwila odjazdu — i dopiero wówczas spostrzegłem, że cały czas upłynął nam na rozmowie o rodzinie.

— No, dobrze, ale co ja mam powiedzieć o tobie po powrocie do domu? Jak twoje zdrowie? Jak się tu czujesz? Czy ci czego nie potrzeba?

— Obejdzie się — siadaj do pociągu, bo już odchodzi. Porozmawiamy przez okno.

Pociąg rusza — opuściłem szybę przedziału i wyjrzałem.

Na peronie — inny człowiek. Groźny mars z czoła zniknął — zawsze zaciśnięte usta rozwarły się teraz, jak do uśmiechu i pocałunku.

— Uściśnij matkę!

Coś zadrżało w tym głosie. A w odpowiedzi coś zatrzepotało boleśnie i bezsilnie na dnie mojego sumienia. Uściśnij matkę. Dlaczego te dwa słowa tak szarpią?

Jednocześnie poczułem, że nie potrafię ich powtórzyć, choćbym je powtarzał w nieskończoność.

. . . . . .

Czem jest życie kawalerzysty na wojnie — życie bujne i dynamiczne, rycerskie i frywolne, dramatyczne jak śmierć żołnierska i radosne jak dźwięk fanfar — zrozumie ten tylko, kto mając lat dwadzieścia słyszał nad sobą poszum ułańskich proporców, a pod sobą parskanie dzielnego Bachmata, Gryjona czy innego Bucefała.

Rozstałem się z bratem na długie lata, aby takiego właśnie życia łyknąć, takiem się zachłysnąć i upić bez reszty w tej czy innej, czy dziesiątej „potrzebie".

I rzecz dziwna — żaden epizod wojenny czy erotyczny, żaden marsz, żadna kwatera, żaden bój pieszy czy konny nie pozostawił po sobie takiego wspomnienia, jak epilog szarży pod Kryłowem. Tam bowiem spotkałem przypadkowo brata — urzędnika jakich wiele. Tam uścisnął mi w milczeniu dłoń i zakaszlał suchym, przeciągłym, złowróżbnym kaszlem.

A chociaż nie pytałem dlaczego nie zaciągnął się sam, po raz pierwszy i ostatni w życiu poskarżył się na los gorzką skargą:

— Eh ułani, ułani, gdybyż nie moja gruźlica!

W rok potem umarł.

. . . . . .

Minęło wiele lat. W oceanie przeżyć nie zbrakło mi spostrzeżeń z dziedziny psychiki wszelkich ludzi — tych małych i tych wielkich. Stykałem się zarówno ze wspaniałą wielkością, jak z nędzną małością. stykałem sie również z fikcją wielkości i fikcją małości, gdzie wielkość była mimo pozornego blichtru — mała. a małość wielka.

I oto na wspomnienie brata chcę się ująć za t. zw. powszechnie „szarym człowiekiem", za skromną jednostką, jakich wiele. Czas skończyć z krzywdzącem wyzwiskiem „szary", skoro każdy człowiek na swym skromnym szczeblu może imponować kolorytem, wyrazem i mocą, skoro może być wykuty, jak z bronzu.

Jak mój brat Paweł.

Zdzisław Chrząstowski.

TEODOR BUJNICKI

Królewskie menu

Zrana — herbatka z bułeczką,
na obiad — zsiadłe mleczko,
na deser wisienek parę...

Siedzę z gazetą w ręce —
(do djabła! na wisience)
„Król Jerzy odwiedza Paryż".

Parady, defilady,
podwieczorki, obiady.
Trafić tam. Pić i jeść.

Ofiara kwaśnych wisien
pochłaniam w jadłospisie
imponującą treść.

Toż to perła przy perle:
Les Perles fraîches de Sterlet,
Salade Gauloise...
Fonds d'artichauts — panowie,
poezja w każdem słowie!
Spróbować choćby raz!

Poularde à la broche,
Petits Pois (to groszek),
Les Truffes du Perigord...
Krewetki, ortolany,
Tortue Claire — o rany —
Melon frappé, encore.

Gastronomiczny kankan!
Vins: Cherry Tia Blanca,
Champagne Veuve Cliquot.
Le Magnum, Château Lafite,
wymówić nie potrafię
zwłaszcza Clos Vougeot.

Mon Dieu, ileż tu zbytku,
jakie daty napitków,
całkiem obrzydł mi dom.
Do baru zanim zasnę:
parówki, małe jasne,
to moje Glace Vendôme.

T. Bujnicki.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Jan Stachniuk

Z cyklu: „Ludzie młodego pokolenia

IV.

W latach 1927 do 1930 na wyższych uczelniach jedyną siłą przeciwstawiającą się narodowcom był młodo - naprawiacki „Związek Młodzieży Demokratycznej"", kierowany przez wewnętrzną konspirację „Z". Wśród środowisk tego związku jedno wyróżniało się nieco odrębnym charakterem. — Było to środowisko poznańskie. W Krakowie, Warszawie, Wilnie czy Lwowie w ZPMD byli bardzo liczni żydzi — asymilatorzy i oni przepajali tę organizację specyficznym duchem. W Poznaniu żydów nie było, przeciwnie była żywa jeszcze tradycja peowiackiej czysto poznańskiej „Młodej Polski". Ale nietylko to stanowiło o różnicy w Poznaniu trudno być programowym demokratą, ponieważ demokracja jest tam naprawdę zrealizowana. Mieszczaństwo pochodzi z chłopów, inteligencja z mieszczaństwa — styl życia i zainteresowania poznańskiego inteligenta i poznańskiego chłopa są prawie te same. „Szlachetczyzna" nie istnieje „chłopska krzywda" wywietrzała, dominującym typem życia jest życie drobnomieszczańskie. Nacjonalizm rozpostrzenia się tam jak powietrze i jest również jak powietrze nieuchwytny. Przeciw czemu i przeciw komu ma kierować swoje nie zużyte siły młody człowiek, jeśli nie jest antysemitą, jeśli nie jest wrogiem reżymu, jeśli trzyma z urzędnikami — tylko przeciw wszechpotężnemu w Wielkopolsce katolicyzmowi.

Oto jest podłoże na którem wyrósł Stachniuk i jego grupa. — Stachniuk wyszedł z poznańskiego ZPMD Był tam ważną osobą, miał w pewnym okresie wpływ decydujący na miejscowe pismo „Przebudowa". Mając umysł bardzo konsekwentny i uparty, skłonny do doktrynalnego myślenia, — zaczął kształtować własną koncepcję programową. Odrzucił forsowany wtedy w ZPMD syndykalizm i w pewnym momencie sformułował swoją ideję jako „nacjonalizm kolektywistyczny" i tak ją określił w swojej pierwszej broszurze. — Wkrótce jednak uznał, że nazwa ta odstrasza ludzi, jako zbyt zalatująca komunizmem i wynalazł nowe określenie: w południowej słowiańszczyźnie istnieje forma zbiorowego władania ziemią przez szeroką bardzo rodzinę, zwana „zadrugą" — Stachniuk nazwał więc ostatecznie swą ideję „nacjo rozwinięcie znajduje się w sporej książce Stachniuka, wydanej przed czterema laty p. t. „Heroiczna wspólnota narodu". Z dużą znajomością ekonomji i historji autor wywodzi w niej, że Polska od XVII-go wieku ciągle zsuwa się po równi pochyłej pod względem gospodarczym, ciągle konsumuje a nie produkuje. Tymczasem wziąwszy pod uwagę jej bogactwa naturalne, przyrost ludności, klimat i t. p. możnaby na jej terenie wyżywić dwa razy więcej ludności i to na wyższym niż dziś poziomie. Wymaga to jednak heroicznego wysiłku i całkowitej centralizacji władzy i własności, jednego absolutnego ośrodka dyspozycji całego życia gospodarczego.

Na przeszkodzie realizacji tego kolektywnego nacjonalizmu stoi psychika polska — ona jest źródłem dekadencji. Winę za wady tej psychiki przypisuje Stachniuk w całości i bez reszty katolicyzmowi i jego „wegetacyjnemu", — nie „dynamicznemu" ideałowi życiowemu. A więc zniszczyć katolicyzm.

Dokoła „Zadrugi" zgrupowało się zaledwie kilka osób. Natomiast wstęp do pozornie ultra - nacjonalistycznej „Heroicznej Wspólnoty Narodu" pisał sam Stanisław Bukowiecki, prezes Prokuratorji Generalnej i jeden z ojców duchowych „Naprawy".

Stachniuk nie posiada swojej organizacji politycznej ani szerokich rzesz zwolenników. Posiada jednak wpływy znacznie przekraczające grupkę „Zadrugi". Wpływy te są nieuchwytne, często intelektualne. Z głoszonych przez niego z wielką namiętnością i uporem haseł, niejedno zostaje w głowie tego czy owego czytelnika.

Stachniuk jest typem twórcy sekty. Sieje swój doktrynalny posiew i czeka co z niego wzejdzie. Ma czas — ledwie przekroczył trzydziestkę

W. Wasiutyński.

Czy armja czerwona może zwyciężać?

Rewelacyjne zeznanie zbiegłego do Estonji lotnika sowieckiego

UCIECZKA APARATU SSSR. P. 19".

Wobec potocznego ujęcia, że wojna sowiecko - japońska „wisi na włosku", wydaje się rzeczą niezmiernie aktualną zapoznanie z istotnym stanem i potęgą armji sowieckiej, o której się wprawdzie dużo mówi i pisze, ale o której jednocześnie, jak się zdaje, nie mamy nazbyt dokładnego wyobrażenia.

Wiosną tego roku dwaj oficerowie sowieckiego lotnictwa startują na lotnisku w Łudze, koło Petersburga na maszynie „SSSR. P. 19" rzekomo celem dokonania propagandowego lotu z okazji jubileuszu czerwonej armji. Nazwiska ich brzmią: Uniszewski i Gurjew. W powietrzu biorą kurs na południowy zachód, mijają granicę Sowietów i lądują w bliskości stacji Jeriora, koło Dorpatu w Estonji.

I oto „kraskom" Uniszewski udziela rewelacyjnych danych o sytuacji armji sowieckiej. Opowiadanie jego jest rewelacyjne dlatego, iż obrazując konstrukcję wewnętrzną sowieckiej armji, obala legendę jej groźnej potęgi. Temsamem rewelacje Uniszewskiego są pocieszające. W Polsce wielu pozostaje pod dziwną sugestją, że armja czerwona to jakieś nowoczesne, zupełnie nieprzezwyciężone narzędzie zniszczenia starego świata. Że rozporządza tajemnicami techniki, że przesiąknięta jest egzaltacją i pragnieniem walki, stawiającem ją ponad armję reszty świata. Jest to mniemanie błędne.

Posłuchajmy co o niej mówi Uniszewski:

KASTA UPRZYWILEJOWANA

Przedewszystkiem związana jest nierozłącznie z polityką. Wahania polityczne sowieckiej góry w pierwszym rzędzie odbijają się na armji. Jej fundamenty oparte są o grunt nietrwały, niestały.

Na każdym odcinku treść zastąpiona jest formą. Dotyczy to przedewszystkiem największej z atrakcyjności, na jaką się mogą zdobyć Sowiety: względny dobrobyt. Tak jest, żołnierze i oficerowie sowieccy żyją we względnym dobrobycie w porównaniu do reszty ludności cywilnej, chłopów i robotników. Nie potrzebują wystawać w kolejkach połowy swego życia. Otrzymują jedzenie i ubranie. Na stosunki sowieckie to bardzo dużo.

Armja sowiecka posiada kluby, teatry, kina. Posiada najlepsze budynki i najwygodniejsze mieszkania dla oficerów. Ich żony mogą się potrochę nawet bawić i tańczyć. Urlopy spędzać w najlepszych kurortach i sanatorjach.

Czerwona armja jest kastą niewątpliwie uprzywilejowaną pod każdym względem, a przywileje pozostają w mocy nawet po okresie służby. — Natomiast przeciwnie, osoba wydalona ze służby wojskowej, z jakichkolwiek względów, przeważnie z politycznej „niebłagonadiożnosti", staje się parjasem sowieckiego życia, pozbawionym wszelkich praw. Widmo tej sytuacji odstrasza żołnierzy i oficerów od... zbyt głośnego wypowiadania swego zdania w szeregach. Niewinna dyskusja kosztować ich może utratę wszystkiego.

SOWIECKA ARMJA — KONDOTJERÓW

Wytwarza się więc sytuacja trochę paradoksalna: armja światowej rewolucji, posiada wszelkie cechy armji najemnej. Żołnierze i oficerowie rzekomo najbardziej zespoleni z ustrojem państwa, dobierani według klucza partyjnego, zjednoczeni prawomyślnością — są bardziej od wszystkich armij świata podobni kondotjerom. Służą, aby konsumować ten względny dobrobyt, którego nie posiada nikt w Sowietach, poza wojskowemi. Odnosi się to do absolutnej większości Kraskomów, jeżeli odrzucimy lotnictwo, w którem jest wielu poprostu z miłości do latania.

Ale materjalna sytuacja armji czerwonej nie jest jednolita. Nie wszędzie jest tak samo. Pod tym względem posiada ona wiele gradacji i wiele stopni. Zależnie od rodzaju broni i od lokalnej dyzlokacji.

DŁUGIE BUTY I „OBMOTKI"

Najlepiej się ma „elita", specjalne oddziały (otriady osobawo naznaczenja). Dawniej GPU., dziś NKWD., sprawujące funkcje nadzorcze w kraju i wzdłuż granic.

Na drugiem miejscu należałoby postawić pod względem uprzywilejowania lotnictwo. Na trzeciem oddziały zmotoryzowane i flotę. Dopiero pułki linjowe piechoty, artylerji, kawalerji. Nierówność i kastowość armji sowieckiej jest bardziej wyraźna, niźli różnice, jakie zachodziły ongiś pomiędzy korpusami gwardji i linjowemi.

Pozatem zupełnie odmiennie traktowane są oddziały stacjonujące na prowincji, inaczej w stolicy, albo większych centrach. W tych ostatnich są lepiej ubierani i obficiej karmieni. Na głuchej prowincji gorzej. W Moskwie noszą żołnierze wysokie rosyjskie buty. Na prowincji już tylko „obmotki" — krótkie trzewiki i owijacze.

„LOKALNY STALIN"

Ażeby sobie dokładnie uprzytomnić, co jest istotą armji sowieckiej, a jednocześnie jej grzechem pierworodnym w pojęciu militarnem — trzeba się zapoznać z systemem szkolenia politycznym. T. zw. prawomyślność polityczna rozsadza i deprawuje armję bojowo.

Oficjalnie, drugą osobą po dowódcy jednostki bojowej jest komisarz polityczny, t. zw. „wojennyj komisar". Jednakże po rozstrzelaniu Tuhaczewskiego i szeregu wybitnych generałów czerwonych, wydano zarządzenia, które z komisarza politycznego czynią faktycznie nie drugą a pierwszą osobę. Dotychczas posiadał jedynie funkcje doradcze, dziś decydujące. W praktyce komendant oddziału jest pozbawiony swoich praw normalnych dla armij „kapitalistycznych". Każdy jego krok kontrolowany a każdy rozkaz przez komisarza politycznego może być korygowany, zmieniany. Najdrobniejszy szczegół życia oddziału musi być wiadomy komisarzowi politycznemu i w zależności od jego uznania dopiero przedkładany dowódcy.. A przecież trzeba zdać sobie sprawę, przez jaką szkołę, jakie polityczne egzamina, jakie próby i jakim badaniom poddany być musiał dowódca, zanim otrzymał wysokie swe stanowisko. Zdawałoby się winien być poza wszelkiemi podejrzeniami... Ale dopiero komisarz polityczny jest „lokalnym Stalinem".

Dowódca militarny skrępowany przez jaczejkę partyjną oddziału i kompletnie uzależniony od komisarza, niczego na własną rękę przedsięwziąć nie może.

Wszelkie prawa dowódcy posiada również komisarz. Ale dowódca nie posiada praw komisarza. Komisarz w łonie oddziału rozporządza własnym sztabem (TPU), który nie podlega rozkazom dowódcy. Pozatem całą olbrzymią sieć szpiegowską. Nikt tam absolutnie nie jest pewien drugiego. Niema przyjaciół, niema kolegów. Są tylko szpiedzy i szpiegowani.

Ten ustrój wytwarza sytuację, w której oczywiście nie może być mowy o jednolitości dowództwa, rzeczy pod względem bojowym najbardziej pożądanej i dodatniej. Niszczy też wszelką podstawową radość decyzji, czy dumę odpowiedzialności osobistej.. Tem samem osłabia armję w jej zdolności aktywnej.

ŁADUNKI POD KLUCZEM N. K. W. D.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że rola komisarza politycznego i podległego mu sztabu wypełnia już bez reszty funkcje szpiegowsko - nadzorczą w armji.

Stalin wprowadził do wszystkich jednostek bojowych dodatkowe oddziały NKWD. (narodnyj komisarjat wnutriennich dieł). Zadaniem tych oddziałów jest obserwacja nastrojów wojska i kontrola nad wyżywieniem i uzbrojeniem. Oddziały te posiadają własny ustrój. Uniezależnione są również od dowódcy bojowego, jak też komisarza politycznego. Podlegają wyłącznie rozkazom własnych dowódców. Wzajemny stosunek oddziałów NKWD. i ich dowódców, regulowany jest specjalnemi drogami, nieznanemi ani oficerom, ani komisarzom politycznym.

Wszelkie zasoby oddziału wojskowego: amunicja,racje żywnościowe,materjały wybuchowe,broń części zapasowe, materjały palne i t. d., znajdują się w wyłącznem rozporządzeniu NKWD., przez niego są ochraniane i kontrolowane codziennie. Amunicja wydawana jedynie na strzelnice, w ograniczonych ilościach, każdy ładunek notowany. Według imiennego spisu zwrócona być ma każda wystrzelona gilza.

Naprzykład wojsko na paradzie 1-go maja maszeruje bez amunicji, a oficerowie niżsi z pustemi kaburami od rewolwerów. Oficerom wyższym wolno jest mieć rewolwer (to ich przywilej) ale... bez kul.

Zarówno oficerowie, jak żołnierze podlegają nieustannemu systemowi szpiegowskiemu. N. K. W. D. posiada kartotekę każdego żołnierza, do której notowane są wszelkie osobiste przejawy jego życia zarówno w służbie, jak poza służbą. Zwłaszcza jego stosunki rodzinne, znajomości, każdy wypity kieliszek wódki...

Jak się przedstawia w tych warunkach samopoczucie armji i jej godność, nie trzeba dodawać. Ale czy taką armją można skutecznie walczyć?...

BEZPARTYJNI W FORMACJACH TECHNICZNYCH

Ingerencja komisarzy politycznych i NKWD daje się specjalnie we znaki w formacjach technicznych. Ponieważ strona polityczna ma wszędzie pierwszeństwo przed fachową, niejednokrotnie wytwarza się sytuacja, w której osoba nie mająca pojęcia o danej specjalności, posiada w niej wszelako głos decydujący. Doprowadza to oczywiście do tragikomicznych nieporozumień, a w konkluzji do rozprzężenia.

Z drugiej strony technicy wojskowi w Sowietach cieszą się względną swobodą, w porównaniu do innych broni. Dzieje się tak dlatego, że w Sowietach daje się odczuwać ogromny brak sił fachowych. Wojska techniczne są jedynemi, w których służy spory procent „bezpartyjnych", do których przyjmowani są nawet ci, którym z jakichkolwiek względów podejrzanej nieprawomyślności wypadło opuścić szeregi innych broni.

DECYDUJĄ NIE BOJOWE, A PARTYJNE KWALIFIKACJE

Ażeby w Sowietach zostać oficerem, trzeba posiadać poparcie partji. Nie wojskowe, a polityczno - partyjne kwalifikacje decydują o jego karjerze. Przedewszystkiem więc proletarjackie pochodzenie. W ostatnich czasach do szkół wojskowych przyjmowani są obywatele wyłącznie z wyboru rejonowych komitetów partji, względnie komsomołu. Osoba, na którą wybór padł, nie jest w stanie od niego się uchylić, nawet gdyby nie posiadała najmniejszego pociągu do służby wojskowej, ani stanu oficerskiego. Stąd istnieje znaczny procent oficerów, nie posiadających żadnych wartości bojowych. W tej chwili, jeżeli odliczymy wojska techniczne, 100% oficerów sowieckich należy do partji.

Przeciętny ogół oficerów sowieckich kształcony jest w t. zw. szkołach „normalnych". Poza poleceniem partji, wymaga się od nich: zdolność fizyczną, wiek pomiędzy 18 do 24 lat, ukończenie szkoły średniej, zaświadczenie o pochodzeniu rodziców, jak również najbliższych krewnych. Wogóle kwestjonarjusz zawiera przeszło 100 pytań. Dotyczą one między innemi działalności rodziców lub krewnych w okresie przedrewolucyjnym, znajomości lub pokrewieństwa zagranicą i t. p. szczegóły. Za podanie fałszywych zeznań grozi wielka kara.

Prócz szkół normalnych istnieją jeszcze szkoły pułkowe. W nich na oficerów dokształcani są żołnierze, również wyłącznie z polecenia wojskowej jaczejki partyjnej, w praktyce, wskutek protekcji komisarza politycznego, względnie NKWD. Warunki przyjęcia są podobne jak w „normalnej", jedynie wiek ucznia może przekraczać 24 lata. — Charakterystycznem jest, że w obydwóch szkołach kwalifikacje militarne ucznia traktowane są na ostatniem miejscu i nie mają znaczenia decydującego.

Do akademij wojskowych przyjmowani są oficerowie w randze powyżej kapitana, oczywiście tylko członkowie partji.

NIE DAWAĆ BRONI CHŁOPOM!

Do wszystkich szkół wojskowych dopuszczane są przedewszystkiem osoby ze sfery robotniczej miejskiej. — Zdarzały się wypadki, że przyjmowano do nich nawet pochodzących ze sfer resztek duchowieństwa. Ale jednego się przestrzega: nie kształcić na oficerów synów chłopskich. Partja komunistyczna niczego tak bardzo się nie obawia, jak dawania broni w ręce chłopskie!...

W Sowietach przestrzegana jest również zasada, ażeby żołnierz nie odbywał służby w kraju rodzinnym. Jakkolwiek SSSR. składa się rzekomo z poszczególnych republik, nie posiadają one wojsk terytorjalnych. Służba winna się odbywać jak najdalej od domu rodzinnego.

Niema na kuli ziemskiej drugiej takiej armji, w którejby życie towarzyskie i koleżeńskie było tak skrępowane. Krytyka wewnętrznego systemu jest również niemożliwa jak niebezpieczna. indywidualne wykazanie osobistych kwalifikacyj i karjera militarna bez fasowania jej jednocześnie na polu partyjno - szpiegowskiem — wykluczona.

Z tem jednocześnie łączy się objaw powszechnej w Sowietach popularyzacji armji, militaryzmu, wezwań do zbrojenia i egzaltacji wojennej. Robi się to dobrze i umiejętnie.

ARMJA WEWNĘTRZNEGO REGIME'U

Ale należy stwierdzić: struktura armji sowieckiej odwrócona jest raczej do wewnątrz, a obliczona primo — na dozorowanie wewnętrznego regime'u, secundo — ograniczenie samodzielności, celem uniemożliwienia jakiejkolwiek ruchawki w jej łonie.

Wszelkie niespodzianki są możliwe. Nie wydaje się wszakże, ażeby w dłuższym okresie wyszły na zewnątrz, aby armja czerwona mogła stanowić poważnego przeciwnika w zetknięciu z armją japońską.

ODCISKI
RADYKALNIE USUWAJĄ
KRĄŻKI RYSZARD
PUDEŁKO 5 SZTUK — 1 ZŁ.
ŻĄDAĆ W APTEKACH I SKŁADACH APT.

T. NIEŚCIUSZKO

MELANCHOLIKOM DLA ROZRYWKI

1. Chyba każdy, kto miał trochę do czynienia ze szperaniem w archiwaljach, lub grzebał się trochę w dawnych drukach, jest pod rzewnym urokiem starych szpargałów. Papier, pismo czy druk, układ graficzny, no i styl, język — wszystko to ma doskonały smak wystałego wina. Rozczuleni jesteśmy „naiwnością" a nieraz i „obskurantyzmem" naszych przodków, bawi nas ich „ograniczoność" i dziwaczny sposób formułowania myśli. Czujemy szaloną przewagę umysłową nad nimi, nie zdając sobie sprawy że za kilkaset lat, a i za kilkadziesiąt nawet, nas samych, nasz styl i nasze poglądy „późny wnuk" będzie wyszydzał i wydziwiał.

Jeżeli więc chcemy trochę się pobawić kosztem naszych przodków — oczywiście będzie to rozrywka całkiem dopuszczalna i godziwa — musimy jednak do tej zabawy przystąpić z pokorą, pamiętając o tem, że i nasza epoka i my sami będziemy w przyszłości przedmiotem wesołych żartów lekceważącej nas potomności. Jak to pisała o „Babci" Marja swego czasu Pawlikowska dziś Jasnorzewska?:

Za lat pięćdziesiąt siądzie przy fortepianie
(będzie miała wówczas wiosen siedemdziesiątcztery)
babcia co nosiła jumpery
i przeżyła wielką wojnę nudną niesłychanie.
Babcia, za której czasów jeździły tramwaje,
samolot pierwszych kroków uczył się po niebie,
a ludzie przez telefon mówili do siebie
nie widząc się nawzajem.
Babcia pamiętająca Krakusa i Wandę,
a w każdym razie Piłsudskiego i Focha,
która się upajała jazz - bandem
i odbierała listy od listonosza,
której młodość zeszła marnie, bez kikimobilu,
biofonu, wirocyklu i astrodaktylu,
wpatrzona w film swój zblakły z uśmiechem tęsknoty,
zagra na fortepianie staroświeckie foxtrotty.

2. Wypisałem sobie kiedyś z „Wizerunków i rozstrząsań naukowych" (wydawał je Józef Zawadzki w Wilnie) z roku 1835 taki passus: „P. Wincenty Romanowski komunikował nam, zbiór swoich prac poetyckich: z obszerniejszych jest poemat satyryczny, o żonie pewnego pana, przez wierność jego sługi na drodze honoru i obowiązków uczciwości małżeńskiej, utrzymanej; resztę składają piosnki, bajeczki, epigramata i t. d. autor tych wierszy po ich poprawieniu i pomnożeniu całego zbioru zamyśla je drukiem ogłosić. P. W. Romanowski jest urzędnikiem skarbową posługę pełniącym. Miło jest widzieć osobę, której powołanie pracowite pozwoliłby mogło światowych,pod wolne od zatrudnień stanu chwile, rozrywek trawiącą je w towarzystwie z Muzami. Przyjaciółki te wierne, jak powiada poeta: ...nigdy nie zawiodą. Są chwil przykrych pociechą, pomyślnych osłodą, i na tę ostatnią właśnie P. W. Romanowski sprawiedliwie, przez swoje ku naukowym zatrudnieniom upodobanie, zasługuje"...

Oczywiście „z początku śmiech pusty" podsuwał mi cały szereg rozmaitych dowcipków na temat „naukowych zatrudnień" p. Romanowskiego. Kochanek Muz w mundurze urzędnika skarbowego (może sekwestratora? może naczelnika urzędu?) wyrzekający się światowych rozrywek dla napisania poematu o słudze (może swoim własnym), który umacniał płochą kobietę w wierze małżeńskiej Chciałem zachęcić Ministerstwo Skarbu, by odszukało cenne manuskrypty Romanowskiego w celu wydania ich jako reprezentacyjnych płodów ducha skarbowego. Kto wie, może jak Słoński był najlepszym dentystą wśród poetów tak Romanowski najlepszym wśród nich skarbowcem? A jego epigramata? Może atakowały opieszałych płatników lub spryciarzy uchylających się od zeznań o dochodzie? Możeby się wśród jego „piosnek" odnalazła się jako o skumulowanym podatku dochodowym, lub duma o ustawie stemplowej?

A potem przypomniałem sobie o odpowiedziach działu literackiego „Gazety Polskiej", czyli o t.zw. „szkółce Kadena". I jakoś zrobiło mi się wstyd,że mię tak bawi naiwne sformułowanie odpowiedzi redakcyjnej z przed stu trzech lat. Późny wnuku. W układanej przez siebie antologji będziesz miał sposobność notatkę „Wizerunków" zestawić z poucze niami sekretarza P. A. L-u. I będziesz miał okazję do większej ilości dowcipów.

3. „Nie z Szkolnych szpargałów, które częściey pod placki do piekarni,niż do mądrey Kleantesa zdadzą się latarni; ani też z cudzey, jak inni, zarwałem się pracy;zaczym nie boię się Zoila okrzyknienia:Dicit tibi tua pagina, fur es.Lecz kilka set Autorów od deszczki do deszczki przeczytawszy,tu y ów dzie pożyczaiąc, to skupuiąc, na ich fundamencie te NOWE dla Ciebie Czytelniku wystawiłem ATENY".

Takiemi słowy zwraca się do czytelnika ksiądz Benedykt Chmielowski, oddając mu do rąk znany nam dobrze ze słyszenia (każdy podręcznik historji literatury go wymienia) tom „Nowych Aten albo Akademii wszelkiey scyencyi pełney, na różne tytuły iak na classes podzielone, mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowaney". Dwieście lat, które nas dzielą od tego dzieła, niewątpliwie monumentalnego, świadczącego o encyklopedycznej erudycji autora, zrobiły zeń pierwszorzędne compendium mimowolnego humoru. Jestem przekonany, że reedycja Nowych Aten, które tak poważnie traktowali nasi pradziadowie z epoki saskiej, zrobiłaby furorę i zapewniłaby im ponowną poczytność, większą niż ma leksykon, powiedzmy Trzaski i Ewerta nieopatrznie na raty zafundowany. Już wybranych kilka pozycyj z „Regestru y Porządku wszystkich Tytułów y Materyi" zachęca czytelnika do dokumentnej lektury: „Zła Wiara y Ofiara, alias o Bożkach Pogańskich", „Dubitantius albo Scyencya, Dubia solwuiąca, o Raiu Ziemskim, o Olbrzymach, o Pigmeyczykach, o Korabiu Noego" o Wieży Babylonskiey, o Arce Pańskiey, o Lotowey Żonie, o Jabłkach Sodomskich, o Fenixie, o Gryfie, o Pelikanie, o Jednorożcu, o Syrenach, o Remorze rybie, o Salamandrze, o Łabędziu, o Niedźwiedzicy, de Lapide Philosophorum, de Lampadae vitae homanae, de Virga Metallica, o Leviathan rybie, o Szoroborze, o Ciele Machometa etc. etc." „Wiek siwy czynił Dziwy, alias o siedmiu ludach Świata" „co kray, inną własność", „Taran, ale nie Tyran, albo przeciwne Wierze Katolickiej błędy i td. itd. Tytułów tych jest 28 i obejmują one wszystkie dziedziny „wiedzy współczesnej" od religji począwszy, na wiadomościach politycznych i przyrodniczych kończąc.Trudno się oprzeć pokusie poczynienia przynajmniej skromnych wypisów z tego sui generis arcydzieła, już coprawda nie „idiotom dla nauki lecz przynajmniej „melancholikom dla rozrywki". Najbardziej trapujące są partje książki, w których czcigodny autor dzieli się z czytelnikiem informacjami o świecie zwierzęcym; jakże prawdopodobnie wobec nich wygiądają słynne dowcipy o polowaniu na lwy metodą przesiewania Sahary przez sito, lub na nosorożca ze śrubką. Posłuchajmy przeto ks. Chmielowskiego w

Jerzy Wyszomirski

O kłamliwości

1.

Spowodu wizyty królestwa angielskich w Paryżu, André Maurois — wybitny znawca literatury i kultury angielskiej — opublikował w którymś z dzienników artykuł o Anglikach, omawiający ich charakterystyczne cechy narodowe i obyczajowość. Artykuł miał na celu ułatwić Francuzom zrozumienie i poznanie swego sprzymierzeńca. Jedną z cech Anglika jest skromność. Jeśli Anglik wam mówi: „nich mię pan odwiedzi w mym domku wiejskim" —możecie być przekonani, że „domek" okaże się średniowiecznym zamkiem. Jeśli Anglik oświadcza: „owszem, grywam w golfa" — będzie to napewno mistrz tej gry, zdobywca rekordów, odznaczony niejedną nagrodą. W obydwu wypadkach skromność może się nam wydać przesadną, jednakże nie zaprzeczymy, że znalazłszy się w zamku, nabieramy szacunku dla jego właściciela, który z prostotą, bez afektacji i bynajmniej nie w zamiarze wywołania zdumionego zachwytu swego gościa, nazwał swój zamek domkiem. Maurois przytacza także pewną anegdotę, ilustrującą delikatność stosunku Anglika do człowieka. Jakiś pan otrzymał zaproszenie na bal kostjumowy do swych przyjaciół na wieś. Przyjechał wieczorem samochodem, ubrany w strój błazna. Zdziwił się, że nikogo, prócz gospodarzy, nie zastał w domu. Przyjęto go uprzejmie, poczęstowano kolacją, przenocowano, przyczem gospodarz pożyczył mu własnej pyjamy, i nikt nie zwrócił uwagi na jego strój. Pan był stropiony, ale nie dał nic poznać po sobie, i dopiero nazajutrz zrana, odjeżdżając w swym błazeńskim kostjumie, zapytał nieśmiało co słychać z maskaradą. Ach, tak — odpowiedziano mu — odbędzie się za tydzień. Otóż, pan, sprawdziwszy u siebie zaproszenie, stwierdził, że się pomylił w dacie. Wyobraźmy sobie podobny casus w naszych stosunkach towarzyskich: ile by to było śmiechu i przekpiwania z roztargnionego błazna, jakim przedmiotem żartów stałby się jego kapelusz z dzwoneczkami na tle codziennych ubrań gospodarzy! Czechow gdzieś się wyraził, że dobre wychowanie polega nie na tem, aby nie przelać sosjerki przy obiedzie, ale na tem, by nie zauważyć, gdy ją ktoś z towarzystwa przeleje. W przeciętnem polskiem towarzystwie wylanie niechcący szklanki wody na obrus, wywołuje zamęt nieopisany: wszyscy odskakują od stołu, i nieszczęsny niezgrabjasz już do końca obiadu czuje się jak na mękach. W polskich stosunkach skromność należy do wyjątków, natomiast przechwałki stanowią regułę, i im ktoś jest mniej wart, tem lepsze go bywa o sobie zdania, tembardziej stara się innych o swej wartości przekonać.

2.

Skromność łączy się z prawdomównością. Zarozumialec i pyszałek jest zawsze kłamliwy. Europejczyk w klasycznem znaczeniu tego słowa jest prawdomówny: ideałem jego będzie człowiek, którego myśli, słowa i czyny stanowią harmonję. Dziś ta harmonja zachwiała się na całym świecie, musimy jednak przyznać, że Polak jako człowiek nie należał i nie należy pod tym względem do ludzi harmonijnych, w dzisiejszych zaś czasach kłamliwość w sposób niebezpieczny wypacza nasze życie i nasze stosunki. „Pewność i zaufanie" są to szczytne hasła, które jedynie w reklamach PKO mają swą wagę; poza tem istnieją jako fikcja, nietylko ta, o której pisał niedawno w „Słowie" Józef Mackiewicz, ale ta, nad którą rozwodzi się głęboko Ignacy Matuszewski w „Próbach syntez".

Pewnego razu brałem udział w rozmowie towarzyskiej, która toczyła się przy kolacji w sali restauracyjnej. Sala była wymalowana na kolor żółto - niebieski. Jedna z pań zapytała mię niespodzianie: „Czy pan wie, jakiego państwa barwą narodową jest żółto-niebieska?". Przypadkiem nie wiedziałem, czy też nie mogłem sobie przypomnieć. Pani nalegała: niech pan pomyśli! jakto? czyżby pan nie wiedział? wstyd! — Biało-żółty kolor— wiem: papieski. Biało - niebieski, to sjonistyczny. Ale żółto - niebieski? Nie, stanowczo nie wiem. I nikt z towarzystwa nie wiedział. Pani tryumfowała,że tylko ona jedna jest mądra i uczona, ponieważ wie, że to są kolory ukraińskie. Rzeczywiście, ukraińskie. Wiedziałem o tem. Jak że mi to mogło wylecieć z głowy? Ale w opinji owej pani już się pogrążyłem na zawsze, że niby literat i dziennikarz, a taki ignorant. Jestem pewien, że ta moja niewiedza zadecydowała o stosunku do mnie uczonej pani na przyszłość; że w rozmowach z ludźmi będzie się odzywała o mnie lekceważąco. W ten sposób zwykliśmy sobie wyrabiać zdanie o ludziach, i trwamy potem przy takiem zdaniu uparcie, puszczamy je w ruch, i z właściwem sobie zarozumialstwem, z właściwą dufnością w swą przewagę umysłową nad innymi, nie zmienimy naszego zdania, choćby było najbardziej fałszywe. W danym wypadku nietylko ten szczegół jest znamienny. Ciekawszy był dalszy ciąg rozmowy z ową panią. Gdy wyszydziła mię dostatecznie, że nie mam pojęcia o barwach ukraińskich, opowiedziała w jakich okolicznościach poznała te barwy. Było to w latach 1918 — 1919, podczas rewolucji na Ukrainie.Pani była wówczas dzieckiem (naturalnie), może miała pięć, najwyżej sześć lat, jednakże pamięta ów fakt doskonale. Mieszkała z rodzicami w małem miasteczku, wpobliżu Kijowa. Zajęły je wojska ukraińskie — i proszę: umundurowane były na niebiesko-żółto i wtedy się dowiedziała, że to są barwy ukraińskie. W miejscowym kościele odbyła się podniosła uroczystość składania ślubów przez wojsko, że nie opuści ono zdobytego na bolszewikach miasta i nie spocznie, póki nie wywalczy niepodległej Ukrainy. „W kościele?" — zapytałem. Pani zapewne pomyliła się, ale już się nie chciała cofnąć i poprawić, by nie wystawić na szwank swego autorytetu. „No tak: były to oddziały katolickie". Dowódca wojska, pułkownik z wielkim oseledcem na czubku głowy (pani objaśnia gestem, jak wygląda oseledec) spowiadał się i komunikował, a potem przysięgał na swą szablę, że nie włoży jej do pochwy .dopóki choć jeden bolszewik pozostanie na Ukrainie.

Powtarzam opowiadanie dosłownie, nie dodając ani jednej literki. Wszystko jest w niem kłamstwem: barwy mundurów ukraińskich, przysięga w kościele i fantastyczny oseledec. Zawdzięcza go pani zapewne wspomnieniom z lektury Sienkiewicza, a całe opowiadanie — swej imaginacji. Była to pseudologia phantastica, wywołana, być może, podnieceniem alkoholem podczas kolacji, a może wrodzoną skłonnością do fantazjowania. Pani nietylko chciała, byśmy uwierzyli jej opowieści, ale, być może, wierzyła w nią sama. Nie przerywałem jej już od chwili, gdy usiłowałem sprostować informację o kościele. Nie przerywałem przez delikatność, z uczucia wstydu, które mię nagle ogarnęło, z poczucia beznadziejności i przeświadczenia, że gdybym zakwestjonował wiarogodność opowieści, obraziłbym panią, naraził się na przykrość, może na kłótnię, może nawet na zatarg honorowy z mężem pani, zatarg zupełnie w takich warunkach (restauracja, alkohol) prawdopodobny. Ten fakt, napozór błahy, uważam jednak za charakterystyczny i typowy dla naszej kłamliwości. Świecić bakę lubimy na wszelki, możliwy i niemożliwy, sposób.

3.

Często w dzisiejszych czasach sięgam do Dostojewskiego. Ten wielki „duchowidz" był nietylko największym psychologiem duszy rosyjskiej, nietylko prorokiem rewolucji rosyjskiej, ale i jasnowidzem naszych czasów. Obserwuję dziś zresztą jego silny wpływ na dwóch wybitnych polskich powieściopisarzach — Nałkowskiej i Iwaszkiewiczu, i to mi daje też coś niecoś do myślenia. W naszem życiu dostrzec można niejedną oznakę „dostojewszczyzny", to znaczy nie wpływu twórczości Dostojewskiego na nas, lecz te objawy życiowe, które Dostojewskiego interesowały. Dużo możnaby o nich pisać. W danej chwili ograniczę się do jednego: do kłamliwości. Dostojewski stworzył niejedną postać kłamliwca i łgarza. Naprzykład, wspaniale artystycznym i psychologicznym jest stary łgarz, zgrywający się przez całe życie lubieżnik Karamazow, ojciec Dymitra, Iwana i Alioszy: pojęcie „karamazowszczyzny" obejmuje również łgarstwo. Dostojewski ma także teoretyczną, że się tak wyrażę, rozprawę o kłamstwie — ściślej: o łgarstwie, o bladze, o skłonności do załgiwania się. Dotyczy ona Rosjan, nad którymi pisarz czynił bezpośrednio spostrzeżenia. Ukazała się w „Graždaninie" roku 1873. Chcę ją pokrótce przypomnieć.

Dlaczego wszyscy u nas kłamią? — zapytuje Dostojewski: — wszyscy jak jeden. Przesada? Uogólnianie? Nie. Dostojewski jest przekonany, że śród inteligencji rosyjskiej nie może być nawet człowieka, któryby nie kłamał. Nawet ludzie pod każdym względem uczciwi kłamią. U innych narodów kłamią tylko nicponie, w celach wyraźnie występnych; w Rosji kłamią najbardziej szanowni ludzie w najbardziej szanownych zamiarach. Weźmy kilka drobnych przykładów. Czy ktokolwiek z nas nie zwiększył dziesięciokrotnie ilości kilometrów, którą przebył galopem w ciągu godziny, jeśli to zwiększenie potrzebne było do spotęgowania wrażenia na słuchaczach? Któż z nas nie zapewniał, że pewnego razu ścigał się konno z pociągiem i wyprzedził pociąg? Albo nasze opowiadania o psach myśliwskich? Albo historje naszych chorób i cudownego wyleczenia? Albo to, cośmy oglądali zagranicą? Albo — przypomnijmy sobie: czyśmy nie opowiadali komuś przygody, która się nam rzekomo przydarzyła, zapomniawszy, że właśnie o tej przygodzie ten ktoś nam przed rokiem opowiadał? Czyśmy zapomnieli, jak naraz w połowie opowiadania spostrzegliśmy nasze łgarstwo i zresztą domyśliliśmy się tego, spoglądając na twarz słuchacza, pełną cierpienia? Mimo to, z męstwem godnem wielkiej sprawy, skończyliśmy nasze opowiadanie, aby zaraz potem pożegnać się coprędzej z wymuszonym uśmiechem i w przyszłości unikać długi czas naszego rozmówcy.

To są przykłady, jak powiedzieliśmy, drobne. Delikatna wzajemność kłamstwa jest pierwszym warunkiem współżycia towarzyskiego w Rosji — powiada Dostojewski: — warunkiem funkcjonowania naszych zebrań, wieczorów, klubów, stowarzyszeń, organizacyj i t. d. Pochodzi to stąd, że Rosjanie lękają się jak ognia prawdy, uważając ją za coś niezmiernie przyziemnego i niepoetycznego, wówczas gdy pewnikiem jest, że ponad prawdę niemasz nic bardziej pięknego i poetycznego na świecie. Szukajcie prawdy jasnego płomienia — uczył w tym samym czasie nasz Asnyk: — wówczas się dusza ludzka rozprzestrzenia i większym staje się Bóg. W obawie przed prawdą Rosjanie do tego stopnia się zakłamali, że kłamstwo stało się dla nich dużo bardziej zrozumiałe od prawdy.

Drugą przyczyną rosyjskiego kłamstwa jest to, że Rosjanin wstydzi się samego siebie, skutkiem tego chce koniecznie uchodzić w towarzystwie za innego, niż jest w rzeczywistości. Francuz ma swoje oblicze francuskie, Anglik — angielskie; każdy naród europejski ma swoje oblicze i nie wstydzi się go. Rosjanin lubi przybierać cudze oblicza. Cecha ta występuje szczególnie u tych Rosjan, którzy bywali zagranicą: powracają oni do kraju już to jako Francuzi, już to jako Niemcy albo Anglicy. I zagranicą przyjemnie bywa człowiekowi rosyjskiemu, gdy cudzoziemcy biorą go nie za Rosjanina. Tu przypomina mi się nasz stary Kromer, który już w w. XVI wytykał Polakom, że chciwie przejmują cudzoziemskie obyczaje i za powrotem do kraju szukają chluby ze swej cudzoziemszczyzny, oraz przypomina się stary Górnicki, który narzekał w te słowa: „Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał; jeśli był we Włoszech, to za każdem słowem — signor, jeśli we Francji, to — par ma foi, jeśli w Hiszpanji, to — nos ostros cavaglieros". Przypomina się również Słowacki z jego „pawiem narodów i papugą". Naturalnie, że następstwem takiego stosunku do własnej godności i do cudzoziemców będzie kłamliwość i blaga w postępowaniu.

Głupstwo to wszystko, stary dziadu, i tysiąc razy już się o tem mówiło — zarzucą mi czytelnicy, powiada Dostojewski. Niemniej napiszę wszystko, co myślę — dodaje. Inteligent rosyjski wyróżnia się jeszcze jedną cechą. Oto w towarzystwie stara się zawsze uchodzić za mądrzejszego, niż jest w istocie, za bardziej wykształconego i lepiej wychowanego. Inna rzecz u siebie w domu, w czterech ścianach, wobec najbliższej rodziny: tam można zdjąć maskę i przestać udawać czyli kłamać. Wobec obcych inaczej: żaden Rosjanin nigdy w życiu nie przyznałby szczerze, że jest głupszy od tych, którzy są od niego mądrzejsi. — Goethe czy Bismarck — myśli taki Rosjanin — są to oczywiście ludzie wielcy, ale i ja nie jestem gorszy od nich. — I opowiada Dostojewski dwie historyjki, których był świadkiem. Pewien pan, statecznie wyglądający, zabawiał towarzystwo wykładem o nauce języków starożytnych w gimnazjach. Mówił długo, uczenie i mądrze — rzeczywiście jak Bismarck. Wywodził, że języki starożytne są zupełnie niepotrzebne i nawet szkodliwe; zabierają czas, który może być poświęcony z korzyścią na naukę przyrodoznawstwa i innych przedmiotów „realnych"; przytępiają umysł skutkiem tego, że wymagają mechanicznego, pamięciowego obkuwania — i podał dziesiątki innych przekonywających dowodów. Słuchacze byli oczarowani jego wiedzą i umiejętnością argumentacji. Ostatecznie okazało się, że jest to szanowny obywatel ziemski, który nigdzie nie studjował, otrzymał t. zw. domowe wykształcenie, a o łacinie i grece pojęcia nie miał.

Druga historyjka wydarzyła się z pewnym inżynierem. Ten znowu wygłosił traktat o ateizmie. Rozpoczął go od klasztorów, i odrazu z pierwszych jego słów widać było, że nie orjentuje się zupełnie w kwestji, którą poruszył. Myślał bowiem, że klasztory są czemś nierozerwalnie złączonem z dogmatami wiary; że zakonnicy są na utrzymaniu państwa, które wydatkuje na nich pieniądze skarbowe; wobec tego żądał w imię liberalizmu zniesienia klasztorów i obrócenia pieniędzy na cele pożyteczniejsze, naprzykład na oświatę ludową. Zakończył swój traktat bezwzględnym ateizmem, hymnem na cześć swobodnej myśli ludzkiej, nieuznającej „tyranji mnichów", i kilkakrotnie powtórzył: syna swego wychowam na uczciwego człowieka — to wszystko. Traktat inżyniera miał wielki efekt: wszyscy słuchali go z podziwem, nikt nie odważył się zaprotestować, ani sprostować fałszywych wiadomości, jakie podawał o organizacji i istnieniu klasztorów. Inżynier opuścił towarzystwo w poczuciu, że dokonał wielkiego czynu i pełen uznania dla samego siebie.

I co mnie najbardziej zdumiewa — powiada Dostojewski: — to zarozumialstwo naszych kłamców, ich pewność siebie, ich powaga, z jaką mówią bzdury, ich najszczersze wreszcie intencje. Bo gdyby to był zwykły głupiec czy gaduła — nic dziwnego; można mu głupstwa wybaczyć. Ale nasz inżynier nie był głupcem i nie był również nicponiem; być może, że to człowiek porządny i dobry ojciec rodziny. Jakże mu nie wstyd wygłaszać brednie z dziedziny ,w której nic nie rozumie i wpajać te brednie w innych, którzy gotowi je przyjąć za dobrą monetę, uwierzyć w nie i skolei szerzyć dalej? Przecie to jest deprawacja społeczna. Ale rzecz w tem, że inżynier nie zna uczucia wstydu. Otóż ten swego rodzaju bezwstyd moralny rosyjskiego inteligenta, brak sumienia i poczucia odpowiedzialności — jest fenomenem, który rodzi kłamliwość i staje się źródłem klęsk społecznych i narodowych.

W zakończeniu swej rozprawy, którą streściłem pobieżnie i tylko w ważniejszych jej punktach, zastanawia się Dostojewski nad postacią Pirogowa, którą Gogol powołał do życia w proroczem, jak mówi, wizjonerstwie. Ten dymisjonowany porucznik został dotkliwie obity w pewnem towarzystwie za swe nachalstwo i niestosowne zachowanie się. Cóż on czyni? Dochodzi do wniosku, że nikt się nie dowie o jego przypadku, towarzystwo bowiem, w jakiem się znalazł, było przygodne i składało się z rzemieślników, którzy go nie znali: nikt nie będzie rozpowiadał o awanturze, a jeśli nawet rozpo-

(Dokończenie na str. 8-ej)

MORSZYN - ZDRÓJ GORZKI

SEZON drugi W PEŁNI

Dom Zdrojowy urządzony komfortowo, oraz szereg nowych pensjonatów o nowoczesnem urządzeniu zapewniają pomieszczenie wszystkim P. T. gościom i kuracjuszom.

Wodociąg, kanalizacja, elektryczność, gaz.

Kilkudziesięciu lekarzy.

W Domu Zdrojowym i w pensjonatach kuchnia dietyczna pod nadzorem lekarzy i fachowo wyszkolonych specjalistów.

Wagony bezpośrednie.

roli prekursora Alfreda Brehma. Oto jak wygląda Nowy Zwierzyniec wybornych tylko i osobliwych zwierząt pełny:

„Bobr po łacinie Castor Fiber w wodzie y na ziemi żyiący Zwierz... Strasz na iest bestya dla długich y ostrych zębów, któremi y drzewa iak siekierą przecina. Przednie ma nogi do psich y do gęsich podobne: Ogon iak u ryby łuską okryty, który zawsze w wodzie trzyma, sam na brzegu, albo w brzegu siedzący... Ma to do siebie ten Zwierz, że in periculo zostając życia, od myśliwych otoczony, Testiculos suos alias Naturalia, zębami sobie ucina i odrzuca, czuiąc naturali instinctu, że naybardziey dla tych bywa łowiony..."

„Catopieba, albo Catoblephon w Afryce nad Nilem Zwierz się znayduiący, zielem żyiący, truciznę maiący w sobie, do byka podobny,tak wzrokiem zabiia, iako i Bazyliszek. Co czuiąc sympatycznie, y przez naturalny instynkt inne Zwierzęta, ucieczką się salwuią, z daleka złego omiiaiąc towarzysza. Na co on też osobliwey zażywa sztuki, oczy zanurza w ziemię, aby wzrok swoim fatalnym tak nie odrażał od siebie Zwierząt, żeby cale ich w bliskości siebie nie maiąc in victualibus nie był ukrzywdzony".

„Cynocephalus, po polsku genuine Psigłów, iest Zwierz w Egypskich Puszczach, nakształt Człeka, ale głowę maiący psią, iakich y Xiążę Radziwił z tamtych był wywiozł kraiow. To ma do siebie podziwienia godne, że co godzinę puszcza urynę od godziny do godziny to czyniąc 24 razy... Czasem bywa ta bestya za ciekącą klepsydrę..."

„Jeleń pewny rodzay robactwa cierpiąc we wnętrznościach Wężów jedzeniem salwuie się, które tchem swoim z iam wyciąga. Potym w głęboką zabrnąwszy wodę, tegoż iadu pozbywa, przez oczy łzy wylewaiąc w kamień Bezoar zamienianią się, naprzeciwko wszelkie truciźnie praesentissimum remedium..."

„Łzy Krokodyla są życia periody; płaczą nad Człeka lub innego Zwierzęcia głowa, by z rospadnioney mozgiem posilić się mogli"...

„Numerus iest Zwierz osobliwy w Lybii, który łup swoy albo pożywienie, zawsze na części iedenaście dzieli, dziesięć ziada, iedenastą na na dalszy czas rezerwuie.

„W Indyi Osły są o iednym rogu, iako też w Scytyi, które rogi tę własność maią do siebie, że Wodę z rzeki Styx nazwaney, wszelakie naczynia nawet żelazne pene truiącą, strzymuią"...

„Ryś po łacinie Panthera albo Pardolis, także ucentkowany iako Tygrys. Dziwnie przyiemnie odorem wszystkie do siebie wabi Zwierzęta, zwabionemi się pasie. Myśliwi łowią go wino nastawiwszy, którym upity, idzie im in praedam... Zwierz ten człekowi dziwnie nieprzyjazny, na same wyobrażenie Człeka na papierze złość wywieraiący..."

„Rosomak to ma tylko w sobie notandum, że iest Zwierz żarłoczny, z tąd po łacinie Gulo rzeczony. Obiadłszy się, idzie między podwoyne gałęzie, tam się per vim póty ciśnie, póki żołądka obepchanego ową nie wyprożni wiolencyą..."

„Hemorhois iest Wąż, który ukąsiwszy krwie płynienie niepohamowane sprawuie, śmiercią się zastanawiaiącą. Rodzi go Ameryka, gdzie z deszczem spada..."

W dalszym ciągu czyniąc konkurencję „Trąbkom myśliwskim" sięgnijmy do „Roziazdu na osobliwe tylko rzucony ptactwo lub klatki powietrznego zwierza":

„Berenichia iest ptak w Brytani, którego ta mirabilis Genesis. Gdy sosnowe drzewo tłuste po wodzie pływaiąc zginie y mchem obrośnie, robak się iakiś rodzi, a z niego Ptak wielkości do Gęsi podobny"...

„Serca Jaskółek z Cynamonem zażywaiąc pamięci się i rozumu przyczynia..."

„Lagana w krainie Indyjskiey iest ptak w nieprzyiaźni z wielorybem żyiący, który tylko co paszczę otworzy swoią, ten Ptak aż do wnętrzności iego wdziera się, serce y wnętrzności iego pożera y śmierć przynosi, iako docieczono w exenterowanym Wielorybie..."

I tak dalej i tak dalej. Gdyby się chciało cytować rozmaite „smaczki" nietylko z dziedziny przyrodniczej, lecz i z każdej innej — nie starczyłoby kilku numerów pisma. Tylko cz. pierwsza dzieła ks. Chmielowskiego ma przeszło tysiąc dwieście stron druku, a na każdej stronicy znaleźlibyśmy po parę conajmniej kwiatuszków. Przyjmujemy je na wesoło, może tam tylko jakiś historyk ręce załamie, że „ciemnota saska", że „reakcja" i „smutny dokument". Nie o to nam wszakże chodzi. Z benedyktyńskiej pracy ks. Benedykta śmiejemy się sobie pogodnie, wiedząc, że zaufał on najwyższym dla siebie autorytetom Plinjuszów, Arystotelesów i sobie współczesnym uczonym tak samo, jak my ufamy swoim przyrodnikom, filozofom i politykom. Wyobrażam sobie ile tematów do śmiechu znajdzie czytelnik wieku XXII-go w pobożnie przez nas czytanych notabene doskonałych feljetonach Brunona Winawera.

T. Nieściuszko

Jerzy Wyszomirski

O KŁAMLIWOŚCI

(Początek na str. 7-ej)

wie, słuch nie dojdzie do tej sfery, do której należy Pirogow. Więc bohater nasz, poprawiwszy zmięte ubranie i potargane włosy, wychodzi z godnością na ulicę i dla pokrzepienia nadwątlonego po obiciu ciała, odwiedza restaurację, gdzie się posila w zupełnej równowadze umysłu. Tegoż wieczora tańczy na przyjęciu u wyższego urzędnika, i nikt, patrząc na niego jak pląsa mazura, nie powiedziałby, że przed paru godzinami Pirogow był solidnie obity. Bezczelność tego człowieka, powiada Dostojewski, jego amoralizm jest tak bezgraniczny, że Gogol nie wiedział już, co z nim począć: rozłożył bezradnie ręce i tak go porzucił tańczącego mazura, nie dokończywszy swej powieści *). Niestety, z Pirogowych składa się inteligencja rosyjska. Cóż dziwnego, że jest kłamliwa i załgana?

4.

Dlaczego często powracam myślą do Dostojewskiego, dlaczego oddaję się lekturze jego książek? Nietylko dlatego, że Nałkowska i Iwaszkiewicz, a przedtem Strug, a dawniej jeszcze Żeromski — pozostają i pozostawali pod wpływem wielkiego Rosjanina, nietylko dlatego, że w wielu dziedzinach współczesnego życia polskiego oglądamy jaskrawą dostojewszczyznę. Oddawna dręczy mię pytanie, któremu dawałem wyraz w swych artykułach, w jakim stopniu my Polacy jesteśmy Europejczykami, a w jakim należymy do Wschodu, do Eurazji. Pierwiastki kultury i obyczajowości zachodniej i wschodniej są w nas przedziwnie pomieszane. Rezultatem tego pomieszania, jeśli pomieszane zostały elementy najlepsze i najszlachetniejsze, może być doskonałość, za jaką uważam, jeśli mowa o szczytach obydwu kultur, Marjana Zdziechowskiego: to wzór pięknego Eurazyjczyka, który pogodził harmonijnie myśl filozoficzną zachodnią z myślą filozoficzną Rosji. Ale Marjan Zdziechowski należy do wyjątków. Natomiast zjawiskiem ogólniejszem u nas wydaje się być „pirogowszczyzna". Któż zaprzeczy, że powyżej cytowany artykuł Dostojewskiego da się rozciągnąć na nasze życie? Że przeżywamy taki kryzys inteligencji, jaki przeżywała Rosja pięćdziesiąt lat temu? Że lękamy się prawdy?

Jerzy Wyszomirski.

*) Jest to nowela p. t. „Newski prospekt", napisana w r. 1834, nowela genjalna.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ILUSTROWANĄ KSIĘGĘ MONOGRAFICZNĄ

POD TYTUŁEM

„FERDYNAND RUSZCZYC"

ŻYCIE i DZIEŁO

Komitet Uczczenia Pamięci Ferdynanda Ruszczyca w Wilnie po urządzeniu w jesieni roku ubiegłego wielkiej wystawy dzieł malarskich i rysunkowych Zmarłego Artysty, uważa za swój najbliższy obowiązek wydanie księgi, opisującej całokształt jego twórczości. Szczególny nacisk będzie w niej położony na część obrazową, która bogactwem, doborem i wykonaniem nietylko uzupełni treść słowną, ale przemówi sama — mocą i czarem wielkiego artyzmu Ruszczycowskiego.

W poczuciu powagi zadania, wymagającego ZBIOROWEGO WYSIŁKU, Komitet ogłasza z dniem dzisiejszym **przedpłatę** na dzieło pod tytułem:

„FERDYNAND RUSZCZYC"

Komitet jest przekonany, że na liście prenumeratorów, która zostanie umieszczona na końcu książki, nie zabraknie nikogo z tych, komu jest nieobojętna kultura ojczysta.

DZIEŁO POD TYTUŁEM

„FERDYNAND RUSZCZYC"

będzie stanowiło obszerną i wykwintną księgę in quarto (format 30 cm. × 24 cm.), zawierającą około 300 stronic tekstu i przeszło 100 plansz ilustracyjnych. Ilustracje będą duże, całostronicowe, jednobarwne i wielobarwne, odbite na zwartym papierze kredowym i wykonane pieczołowicie podług oryginalnych płócien i rysunków artysty. Bogaty dział obrazowy przedstawi wszechstronnie twórczość plastyczną Ruszczyca i obejmie prócz wzorowych reprodukcyj plastyki, portrety artysty i widoki miejscowości, związanych z jego działalnością, w zdjęciach fotograficznych Jana Bułhaka. Tekst księgi będzie tłoczony w dwóch kolorach na wytwornym papierze bezdrzewnym z ozdobami graficznemi samego artysty.

DZIEŁO P. T. „FERDYNAND RUSZCZYC"

wyjdzie z druku i zostanie wysłane prenumeratorom w końcu roku bieżącego. Cena w przedpłacie, pomimo kosztowności wydawnictwa, wynosi tylko **piętnaście złotych**, z przesyłką pocztową **16 zł.** W dniu 1 listopada prenumerata będzie zamknięta, a cena księgarska dzieła po wyjściu z druku podwyższona

do dwudziestu pięciu złotych.

ADRES DLA PRZESYŁANIA PRZEDPŁATY:

Bank Gospodarstwa Krajowego. Oddział Wilno. Wilno, ul. Śniadeckich. Konto czekowe P.K.O. 700060

ADRESY DLA ZASIĘGAJĄCYCH INFORMACYJ:

1. Komitet Uczczenia Pamięci Ferdynanda Ruszczyca, Wilno. Uniwersytecka 3 Dziekanat Wydziału Sztuk Pięknych U.S.B.
2. Jan Bułhak. Wilno, ul. Orzeszkowej 3.

K. Szychowski

LOCKHEAD 14 RUNĄŁ

Próba projektu scenarjusza filmowego

Lockhead 14 ciężko oderwał się od równej płaszczyzny Okęcia i chwiejnie uniósł się nad ziemią. Grupa obsługi patrzyła chwilę za nim jak zawsze, gdy startował.

— Do Lwowa będzie mu dobrze. Ale dalej na południe meteorologja nietęga — powiedział ktoś.

— Głupstwo meteorologja. Hughes mógł w 3 dni dokoła świata na takiej maszynie lecieć, a myślisz, że Korbala gorzej od Hughesa.... Tylko że nie miljoner...

— Jakto nie miljoner! Już dawno opijaliśmy jego miljonowy kilometr.....

Lockhead tymczasem roztopił się w dali — nawet nie spostrzegli. Tylko w kabinie radjowej co pewien czas można się było dowiedzieć że istnieje gdzieś w powietrzu. To radjooperator Rzelicki troskliwie dbał o łączność, podając uspakajające wiadomości o locie i dowiadując się w zamian szczegółów meteorologicznych.

* * *

Na ulicy Filtrowej w mieszkaniu Stanisława Pereca słychać było gniewny szept gospodarza.

— Idjota! A gdzie on miał teczkę, gdy go widziałeś na Marszałkowskiej.

— Powiadam, że teczki nie miał Przyniesiono mu ją dopiero na Okęciu.

— Kto?

— Jakaś para przyjechała samochodem. On wysiadł, podszedł do Irokiego i powiada: „według umowy". Iroki na to nic. Zabrał teczkę i wskoczył do aeroplanu.

— Za co ja wam płacę. Za to, żebyście głupiej teczki nie mogli skraść w przeciągu czterech dni. Co teraz będziesz robił, durniu, — gonić samolot, czy co? Tyle sposobności przepuścić!!!.

— Ale, towarzyszu, przecie trudno teczkę skraść z ambasady, a w chwili gdy ją transportowano z miejsca na miejsce ginęła ta cholera z oczu i rób co chcesz. Wiedziałem, Iroki będzie na lotnisku na 10 minut przed odlotem. Ale on musi się czegoś domyślać. W przeciwnym razie wziąłby teczkę ze sobą, a nie kazał przywozić przez niewiadomo kogo w ostatniej chwili.

Stanisław Perec, ryży żyd namyślił się głęboko. Po chwili rzekł spokojnie, a w głosie jego można było odczuć dużo troski.!

— Depeszować do Lwowa nie mam w tej chwili do kogo. Ale w Czerniowcach.... Tak. Nadaj depeszę do Czerniowiec, że niech Finkelsztejn postara się zabrać to, o czem wie, a jeżeli się nie uda niech zrobi, żeby chociaż Bukareszt tego nie dostał.

— Rozkaz, towarzyszu.

* * *

Lockhead sunął wspaniałą swoją szybkością ku Czerniowcom. Przed chwilą przebyta granica polsko - rumuńska została daleko w tyle. W samolocie pasażerowie drzemali, rozmawiali. Jedna z pań czytała książkę. Na fotelu z lewej strony siedział mały Japończyk w okularach. Lewy łokieć opierał na przyciśniętej do poręczy teczce z bronzowej skóry. Japończyk spokojnym, beznamiętnym wzrokiem spoglądał, na otoczenie.

Państwo L. rozmawiali o interesach w Bukareszcie. Żydowski przemysłowiec z Warszawy obliczał na palcach jakąś tranzakcję. Amerykański dziennikarz drzemał, bo był przyzwyczajony do przebywania w samolocie. Przebył już kilkaset tysięcy kilometrów w powietrzu i nigdy mu przez myśl nie przeszło, że może się zdarzyć katastrofa.

Mieszkańcy wsi rumuńskich, nad którem rwał przed siebie wspaniały, lśniący Lockhead, mówili:

— Popatrz. Leci polski aeroplan.

— Warjaty ludzie po powietrzu latać.

— Durny ty. Pociągiem w życiu ani razu nie jechałeś, a o samolotach gadasz.

Lockhead ich mijał i nie zwracał uwagi na gawędy. Dalej na południe wszył się w gęstwinę niskich chmur. Widoczność stała się słaba. Krople osiadały na szybach. Ster walczył skutecznie z wiatrem. Lockhead drwił z warunków atmosferycznych, zarozumiały z tego powodu, że jego brat trzy i pół dnia zużył na oblecenie kuli ziemskiej. Radjo pracowało znakomicie, zlekka tylko trzaskając spowodu wyładowań atmosferycznych, gdzieś bardziej na południe, łapano sygnały Czerniowiec, które oczekiwały polskiego samolotu.

Pasażerowie znali się już między sobą prawie wszyscy. Często wali się papierosami. Rozmawiali o rzeczach, które były im wspólne i o takich , które komuś z nich były obce. Amerykański dziennikarz brał żywy udział w rozmowie, pomagając sobie na migi. Robił oczy do pięknej panny Irki, która z rodzicami miała wysiąść w Czerniowcach. Żałował, że nie polecą razem do Bukaresztu.

Widać już było lotnisko w Czerniowcach. Tylko Japończyk z teczką nie zwracał uwagi na otoczenie i siedział milczący w kącie. Tylko żyd z Warszawy napróżno usiłował nawiązać z kimś rozmowę, nikt jednak na tę rozmowę nie zdradzał ochoty.

Lockhead zniżył się nad lotniskiem.

* * *

W jednem z miast zaraz za wschodnią granicą odbywało się poufne zebranie kilku wojskowych.

— Wiemy — mówił najstarszy z nich, że szczególnej wagi dokumenty, dotyczące współpracy wojskowej pewnych państw z mocarstwem Dalekiego Wschodu przewozi oficer japoński samolotem z Warszawy do Bukaresztu. Jaki ma sens umiejscowienie tych dokumentów w tem miejscu, wydaje się nam niezrozumiałe. Postanowiliśmy za wszelką cenę zdobyć te papiery. — Dopóki były one w Warszawie — nie udało się nam. Japończyk Iroki zdążył wsiąść do samolotu: jest nim Lockhead Warszawa — Bukareszt. Ponieważ dokumenty te, jak nas informowano, zawierają m. in. treść, kompromitującą nasze poczynania na Dalekim Wschodzie, należy, wrazie niemożności wykradzenia, papiery zniszczyć, nie szczędząc ofiar. Nie pozostaje nam nic innego jak czekać meldunku o wykonaniu poleceń, nadanych telegraficznie przez Pereca z Warszawy do Czerniowiec. Szyfr jest tak doskonały, że niemożliwością jest jakakolwiek wpadka. Informuję towarzyszów o tem, żebyście byli gotowi zaraz potem do działania według otrzymanych zadań. O ile nam wiadomo, Iroki zatrzyma się na 1 dzień w Czerniowcach.

* * *

Lockhead wylądował w Czerniowcach. Odrazu podskoczyła obsługa lotniska i pilot pierwszą rzeczą zajął się oglądnięciem dokładnem samolotu. Wszystko było w porządku, jak zawsze na polskich linjach lotniczych, które są bezpieczne jak pociągi.

Pasażerowie niektórzy wysiedli, niektórzy zostali we wnętrzu Lockheada. Jakiś Rumun z zachwytem oglądał kształty olbrzyma. Japończyk Iroki został w fotelu, każąc sobie przynieść filiżankę gorącej kawy. Dwie osoby jeszcze wsiadły w Czerniowcach i samolot miał komplet pasażerów.

Do kasy podeszło jakichś dwóch osobników, którzy chcieli lecieć do Bukaresztu, ale odeszli z niczem, co ich napełniło wściekłością.

— Znowu się nie udaje — rzekł jeden — Wiesz!! Trudno. Nie będziemy ryzykować życiem. Wykonamy to drugie...

— To na jedno wychodzi...

Jeden z nich zajrzał do samolotu, wskoczył na schodki i zajrzał do kabiny pasażerskiej Lockheada, obrzucając bacznie pasażerów i zatrzymując się na chwilę oczami na Japończyku. Ręka jego została na chwilę pod fotelem niedaleko wejścia. Zeskoczył.

— Siedzi ten djabeł Iroki tam w kącie. Zrobione.

Po chwili Lockhead wesoło wystartował w kierunku Bukaresztu. Była godzina 17,20.

Dwaj nieznajomi odeszli w kierunku miasta.

Ależ on miał się zatrzymać w Czerniowcach 1 dzień, depeszował Perec. Coś musiał zwąchać.

— Już wiem. To zatrzymanie się w Czerniowcach było tylko dla zmylenia śladu.

Tymczasem Lockhead, prowadzony dzielną ręką polskiego pilota Korbali oddalał się i oddalał.

* * *

— O psiakrew! — zaklął radjooperator Rzelicki. — Trzeszczy i trzeszczy. Burza nadchodzi. Będzie ciężko.

Damy radę — Korbala nie traci otuchy.

Rzelicki rozmawiał wciąż z Czerniowcami i przygotowywał się do przejścia na falę Bukaresztu. Mrok zapadał leciutko, a na szybach ukazywało się coraz więcej kropel. Trzask w radjo stawał się niemożliwy. Rzelicki z ledwością łapał Czerniowce. Nadawał:

„Lecimy na wysokości 3.000 metrów. Mamy słaby odbiór radjowy. Silne wyładowanie atmosferyczne".

* * *

Stanisław Perec chodził nerwowo po pokoju. Był jakiś niepewny. W Polsce mu się nie wiodło. Od czasu, gdy jako mały chłopak, Icko, przenosił bolszewikom pod Warszawą meldunki z żydowskiej centrali komunistycznej w stolicy Polski, zmieniło się wiele. — Gdy go Sowiety wysłały na posterunek warszawski, tchórzył całem swem istnieniem. — Ale jednocześnie wrodzony spryt i chciwość pchała go ku pracy niebezpiecznej.

Wiedział, że odebranie teczki płk. Iroki na terytorjum polskiem jest wobec czujności polskich władz niemożliwie. Może się uda po tylu niepowodzeniach w Rumunji. Od wysłania telegramu z instrukcją nie miał chwili spokoju. chodził po mieszkaniu, łapiąc trwożnie oddech. Otwierał okna. Niepokój dusił go.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Perec nerwowo podbiegł i otworzył. Zbladł. Policja.

— Czego panowie sobie życzą. To chyba pomyłka.

— Perec?

— Tak.

— Czy ten sam? — zapytał policjant jakiegoś cywila.

— Napewno.

Tak się skończyła karjera Stanisława Pereca, który miał na sumieniu wiele skrytobójczych morderstw i wiele afer.

* * *

Tymczasem — o godz. 17,45 — Lockhead leciał nad chmurami, zahaczając gdzie niegdzie o kłęby pary. Pasażerowie siedzieli cicho, przejęci lotem wśród nadchodzącej burzy. Lecący jako pasażer lotnik Granatowski uspokajał panią, która się niepokoiła.

— Lockhead jest mocny. Niech się pani nie boi. Można się czuć jak w kołysce.

Nagle Japończyk drgnął i uniósł się na siedzeniu. Pociągnął nosem. Rzeczywiście w powietrzu zaczynało się dziać coś dziwnego. Jakaś duszność opanowywała wszystkich. Japończyk gwałtownym ruchem zaczął odpinać pas — w samolocie powstało zamieszanie. Potężny Lockhead zaczął się chwiać, jakby prowadzony niepewną ręką. A przecież Korbala to pilot niebylejaki...

Japończyk schylił się pod fotel koło wejścia i upadł zemdlony. W ręku zaciskał jakiś przedmiot, który niektórzy z pasażerów dojrzeli zachodzącemi mgłą oczami. Była szklanna buteleczka, na której szyjce widniał coś jakby zegarek. Z szyjki dobywała się ledwo dostrzegalna biaława smużka dymu.

Lockheadem rzucała jakby potężna ręka. Pilot Granatowski ostatniem sił doczołgał się do kabiny pilota. Luźne przedmioty łatały z miejsca na miejsce. Wszyscy ludzie trzymali się za piersi, dusząc się kaszlem. W kabinie pilota panował nieład. Korbala uderzył czołem o ster i twarz miał zalaną krwią. Radjooperator leżał zemdlony.

Lockhead przewracał się wśród chmur. Korbala osunął się na ziemię. Skoczył do steru ostatnim wysiłkiem Granatowski. Próżnia powietrzna!.

Chmury zostały u góry.

Wstrząs.

Potężny Lockhead, porwany wirem korkociągu,, sunął całą masą metalu w dół. Wysiłkiem zatłoczonych płuc Granatowski ruszył sterem. Umierające ręce jego napotkały nieprzezwyciężony opór. Potem zrobiło się ciemno.

* * *

Na polu małej wioski rumuńskiej rozbił się potężny samolot. Pol gęstwą jego szkieletu, między ciałami pasażerów i załogi komisja nie znalazła nic prócz małej buteleczki z mechanizmem zegarowym. Ekspertyza chemiczna wykryła w załomach tej buteleczki drobniutkie cząstki bardzo lotnego i szybko działającego gazu. Znaleziono też teczkę otwartą i pustą, leżącą przy zdruzgotanem ciele japońskiego płk. Iroki.

Powyższe opowiadanie jest najzupełniej zmyślone. Podobieństwo wypadków i osób niniejszego opowiadania do przebiegu jednej z niedawnych katastrof lotniczych jest najzupełniej przypadkowe.

K. Szychowski.

W POZNANIU

„SŁOWO"

nabyć można w następujących punktach sprzedaży:

„ Hotelu Bazar vis a vis pałacu Działyńskich (Stary Rynek)
przy ul. Pierackiego
„ Banku Cukrownictwa
na rogu Długiej i Półwiejskiej
„ „ Kramarskiej i Rynkowej
„ „ Marsz. Focha i Al. Marsz. Piłsudskiego
„ „ Przecznej i Alei Marszałka Piłsudskiego.
przy Eplanadzie
„ Kinoteatrze „Słońce"
„ Bibljotece Raczyńskich
„ Muzeum Wielkopolskiem